

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie . . . Rs. 7 kop. —
 Półrocznie . . . „ 3 „ 50
 Kwartalnie . . . „ 1 „ 75
 Miesięcznie . . . „ — „ 60

Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.

Cena pojedynczego numeru bez dodatku kop. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincyi i w Cesarstwie:

Rocznie . . . Rs. 9 kop. —
 Półrocznie . . . „ 4 „ 50
 Kwartalnie . . . „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld. — 18 m.
 Półrocznie . . . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje księgarnia T. Paprockiego i S-ki pokop. 10 za wiersz petitowy lub za jego miejsce. Reklamy po kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA: Nowy - Świat Nr. 21 m. 20.
Ekspedycja główna: Nowy - Świat Nr. 41,
 w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Zwycięstwa francuzkie, przez J. P.
 Czem jest „nacyjonalizm“, (dok.) przez Edwarda Belamy'ego.
 Rasy ludzkie, przez J. L. Popławskiego.
 Fouillée o M. Gouyau, nap. Henryk Marion przez Z. Gr.
 Z berlińskiej wystawy.
 Z cyklu poezyj bez poezji, przez W. Rabskiego.
 Głosy: Wyprawa do Brazylii i Argentyny. — Spółka artystyczna. — Pytanie bez odpowiedzi. — Audiatur et altera pars. — Nadużycia.
 Z kraju, przez J. Nieborskiego.
 Korespondencja: Mińsk Lit. przez K. Rewera.
 Przegląd społeczny: Łódź, Siles, Dąbrowa górnicza, Wilno, Białystok, Kraków, Lwów.
 Przegląd polityczny.
 Kronika powszechna.
 Ogłoszenia.
 Odcinek: Adwokat, (c. d.) przez Julijana Morosza.
 W dodatku: Wróg ludu, dramat w 5-u aktach przez Henryka Ibsena, przekład H. B. Arkusz 4-ty.

Polecamy czytelnikom naszym świeżo wydane dziełko p. t.

Nauka o ziemi, słońcu, gwiazdach

czyli

Wykład popularny zasad kosmografii i kosmogonii

DLA SAMOUKÓW

napisał M. Heilpern

str. 180, 28 rysunków w tekście i 1 tablica.

Cena 40 kop.

Treść: Powierzchnia ziemi. — Jaką jest postać całej ziemi. — Dla czego ziemia wydaje się nam płaską. — Dla czego z ziemi nie spadamy. — Jakie znaczenie ma ciężkość ciała. — Jak działa siła ciężkości. — Ciężenie powszechne. — Nazwy niektórych ważniejszych miejsc na ziemi. — Jak wielką jest ziemia. — Ziemia się obraca. — Jak prędko ziemia się obraca. — Kto nas tego nauczył. — Dla czego przy biegunach jest zimno. — Ziemia jest obecnie rozpaloną. — Ziemia była niegdyś płynną. — Jak powstały na ziemi góry, morza, piasek i t. d. — Dla czego się ziemia splaszczyla. — Zkąd pochodzi światło księżyca. — Co to są fazy. — Jak wielki jest księżyc i jak daleko od niego. — Jakim sposobem można zmierzyć wielkość i odległość księżyca. — Co można dojrzeć na księżycu. — Czy mieszkają tam ludzie. — Jak się księżyc porusza. — Dla czego księżyc musi krążyć w około ziemi. — Księżyc obraca się w około swojej osi. — Księżyc jest synem ziemi. — Czem jest słońce. — Odległość i wielkość słońca. — Ruch słońca. — Słońce porusza ziemią i księżycem. — Zkąd pochodzą na ziemi pory roku. — Jak się wytworzyły ziemia i księżyc ze słońca. — Co zawdzięczamy słońcu. — Co to są planety i jak je poznajemy. — Grupa planet wewnętrznych. Grupa planet zewnętrznych. — Łatwy sposób wyliczenia odległości planet od słońca. — Księżyc. — Co zmusza planety i księżyc do obrotu. — Zkąd powstały planety i księżyc. — Kopernik i Kepler. — Newton i jego prawa. — Odkrycie planety Neptun. — Cofanie się planet. — Komety. — Co dawniej o nich sądzono. — Postać i budowa komet. — Jak krążą komety i jakie są ich losy. — Gwiazdy spadające. — Układ słoneczny. — Gwiazdy stałe. — Gwiazdozbiory. — Odległość gwiazd. — Wielkość gwiazd. — Ruch własny gwiazd. — Roz-

kład chemiczny. — Pierwiastki chemiczne. — Rozbiór widmowy. — Mgławice. — Co nazywamy przypuszczeniem w nauce. — Chaos. — Mgławica pierwotna. — Tworzenie się słońca, planet i księżyca. — Dowody z astronomii. — Dowody z geologii i paleontologii. — Dowody z fizyki i chemii. — Czy możemy coś wiedzieć o przyszłości świata. — Najważniejsze prawa przyrody. — Przyszłe losy świata. — Przyszłe koleje ziemi i ludzkości.

ZWYCIĘZTWA FRANCUZKIE.

Politycy nasi z gazet i kuryjerów — z lekceważeniem zazwyczaj mówią o Francyi i francuzach. Jaki taki dziennikarski sznaps-major, macając się instynktownie po grzbiecie, przy pierwszej sposobności karcii warcholów francuzkich i kiwa groźnie palcem w bucie w stronę Paryża. Codziennie niemal słyszeć można zdania o upadku — jeżeli nie moralnym i umysłowym, to przynajmniej politycznym Francyi. Niedawno jeszcze z racyi wrzawy, jaką podniosły pisma paryzkie na wieść o szykanach paszportowych ze strony Niemiec — zapewniono uroczyście, zgromiwszy, jak się należy „krzykaczy“, że żaden rząd, żaden naród nie może wejść w sojusz z Francją, nie może żywić dla niej trwałych sympatyj.

Tymczasem właśnie w ostatnich czasach uwydatniły się w kilku punktach Europy objawy szczerzej życzliwości różnych ludów względem Francyi. Kiedy wraz z zapowiedzią podróży Wilhelma II do Anglii rozeszła się wieść o przystąpieniu rządu brytańskiego do trój-przymierza, Labouchère oświadczył w izbie gmin, że lud angielski chce zachować przyjazne stosunki z Francją i nie pozwoli na jakąkolwiek, przeciw niej skierowaną, działalność polityczną. Kilku mówców, między innymi jeden z ministeryjalnego stronnictwa torysów, poparło to oświadczenie, wobec czego rząd zmuszony był zapewnić parlament, że do żadnego sojuszu nie przystał i że wcale o wystąpieniu przeciw Francyi nie myślał. Cesarza Wilhelma uprzejmie przyjmowano w Londynie, ale zarazem podniesiono projekt zaproszenia prezydenta republiki francuzkiej, aby odwiedził Anglię. Na pożegnanie zaś gościa organ Gladstone'a i wogóle stronnictwa liberalnego *Daily News* wystąpił z propozycją, ażeby Niemcy zwróciły Francyi Lotaryngiję.

Poprzednio jeszcze w Holandyi, kiedy po odwiedzinach cesarza Wilhelma zaczęto mówić o przymierzu z Niemcami, co podobno jest życzeniem królowej-regentki, niemki z pochodzenia — cały gabinet podał się do dymisji, a opi-

nia publiczna oświadczyła się bardzo stanowczo przeciw tego rodzaju sojuszom i zaznaczyła gorące sympatyje dla Francyi.

Pomijam urządzane niedawno przez radykalistów włoskich manifestacje na cześć Francyi, oraz uroczyste i serdeczne przyjęcie gości francuzkich w Pradze czeskiej, zatrzymam się tylko pobieżnie nad przyjęciem eskadry francuzkiej, która po drodze do Petersburga odwiedziła Kopenhagę i Sztokholm.

Jeżeli uroczyste przyjęcie, dla eskadry francuzkiej, urządzane w Kronsztadzie, jeżeli świetne festyny w Kopenhadze, gdzie zarówno lud jak i dwór szczerze witali gości, objaśnić można wymaganiami polityki, to o Szwecyi powiedzieć tego niepodobna. Tymczasem przybycie okrętów francuzkich do Sztokholmu było niby pochodem tryumfalnym. Ludność przyjmowała francuzów z niekłamany zapalem, a król Oskar, uważany za gorliwego stronnika przymierza z Niemcami, przypomniał sobie, że jest z pochodzenia francuzem i jako wnuk Bernadotte'a i Beauharnais'ego przemawiał od serca do oficerów floty.

Objawy te wskazują, że polityka Niemiec, dążąca do wciągnięcia w sferę interesów trójprzymierza całego szeregu drobnych i większych państw, nie osiągnęła zamierzonego celu — odosobnienia Francyi. Dziś już nie można wątpić, że ani Anglija, ani Szwecya, ani Holandya, a raczej ani lud angielski, ani szwedzki i holenderski nie pozwolą swym rządóm przyjąć udziału w koalicyi, przeciw Francyi zwróconej. Polityka niemiecka działa przeważnie za pomocą stosunków dynastycznych, które, istotnie, zapewniają jej wpływ znaczny, ale nie stanowczy. Za mało zwraca się na to uwagi, że większość dynastji europejskich jest pochodzenia niemieckiego. Nic dziwnego więc, że polityka niemiecka ma w tych monarchach gorliwych popleczników, nie wiele to jednak znaczy, bo czy to w Anglii lub Holandyi, w Belgii lub w Rumunii — wpływ korony bardzo jest ograniczonym.

Francya zaś ma za sobą wpływy daleko potężniejsze, które w stanowczej chwili zaważyć muszą — szczerze, bezinteresowne sympatyje ludów. Co ważniejsza jeszcze, ludy te rozumieją i czują, że Francya niczem im nie grozi, że nie ma interesów sprzecznych z ich interesami. Nawet anglicy wiedzą o tem dobrze, że w zakresie polityki kolonialnej interesy obu państw z łatwością mogą być uregulowane. Francya bowiem z posiadanych już kolonij w dostatecznej mierze korzystać nie może, nie ma więc powodu zdobywania nowych terytorjów, gdy tym-

czasem Niemcy dopiero rozpoczynają podboje kolonialne.

Te sympatyje, ujawniane tak wyraźnie, chociaż wszędzie w odmienny sposób — to są zwycięstwa francuskie, niemniej zaszczytne, aniżeli tryumfy na polu walki i niemniej doniosłe.

J. P.

Czem jest „nacyjonalizm”

przez

Edwarda Bellamy'ego

(z *Contemporary Review*).

(Dokończenie).

Zastanówmy się tylko chwilę nad moralną stroną mego pomysłu w stosunku jego do położenia kobiet. Z względu na sprawę rozradzania się ludzkości, przyroda włożyła na kobiety brzemię, która obniża ich wartość, jako wytwórców ekonomicznych — w porównaniu z mężczyznami. Otóż z powodu owego uszczuplenia ich wytwórczości, wynikającego z poświęcenia ich interesom ludzkiego rodzaju, proponuje się dać im utrzymanie połowiczne, zaś drugą połowę kazać zdobywać zebranią albo matactwem. To znaczy, że słabość ich, która, jak przypuszczaliby każdy, w skupieniu istot powinna byłaby właśnie nadawać im prawo do wszystkiego, na co tylko wytwórczość narodu zdobyć się mogła, tutaj uważana jest za dostateczny powód powiększenia dźwiganego już przez kobietę dla mężczyzny ciężaru — innym brzemieniem, brzemieniem upokorzeń, skazujących ją na osobistą od niego zależność w sprawie jej utrzymania. Zdaje mi się, a sądzę, iż większości tych, co nie zapomnieli, że się urodzili z kobiet, wydawać się będzie również iż to, co p. de Laveleye nazywa *sprawiedliwością najświętszą*, byłoby raczej największą i najniekzemniejszą niesprawiedliwością. Od początku dziejów ludzkość popełniała błąd największy w tem, iż społeczeństwa nie zrozumiały swego obowiązku zabezpieczenia wolności i godności kobiet, jak to pragnąłby uczynić nacyjonalizm przez zapewnienie im niezależności ekonomicznej.

Wynagrodzenie ich uciskiem i poniżeniem za wiekistą ich mękę dla naszego rodzaju było wielką

zbrodnią ludzkości, zbrodnią, na którą teraz poczynają przynajmniej otwierać się oczy mężczyznom. Tymczasem oto w roku pańskim 1890 słyszymy propozycję, aby, zamiast naprawy tego dawnego błędu, świat cywilizowany uznał go za węgielny kamień wszelkiej społeczności odrodzonej. Nie sądzę, aby propozycja została przyjęta.

Godnem uwagi jest to, że gdyby twierdzenie p. de Laveley'a było istotnie słuszne, to prawodawcy ubiegłych dwu tysięcy lat popełniali błędy w tem, co uważano dotąd za postęp w prawodawstwie, gdy znaczna część owego postępu polegała w znacznej mierze na stopniowym ograniczaniu wyłącznych uroszczeń wytwórcy do jego wytworu, oraz na uznawaniu prawa nie - wytwórców uczestniczenia w nim. Prawo żony i dziecka do uczestnictwa w wytworze męża i ojca są dzisiaj całkiem uznane już nie tylko w zakresie moralności, ale i w dziedzinie prawodawczej; z drugiej strony, dzięki podatkom, z każdym rokiem coraz bardziej uznawanymi są prawa klas zależnych i upośledzonych nie na innej podstawie, jak tylko na podstawie ich upośledzenia. Dla wszelkiego rodzaju celów ogólnych i wspólnych — wojskowych, wychowawczych, państwowych wytwórcą stałe pozbawionym bywa części swoich wytworów, a im bardziej cywilizowanym jest społeczeństwo, tym „świętość” jego prawa mniej bywa uznawana. Stałą dążnością cywilizacji nie jest spoglądanie na jednostkę, jako na osobnika, całkowicie wolnego od wszelkich obowiązków przyrodzonych albo społecznych, wolnego od wszelkiej odpowiedzialności wobec czasów minionych dzisiejszych lub przyszłych — jak tego kazałaby domyślać się zasada p. de Laveley'a, ale przeciwnie, dążność ta wyrażała się dotąd w nakładaniu nań coraz do nowych obowiązków i odpowiedzialności względem społeczeństwa wogóle, zaś w szczególności względem jego klas słabszych, niewytwórczych jak również wobec wszelkich przedsiębiorstw, mających na widoku osiągnięcie ogólnego dobra albo odwrócenie klęski ogólnej. Tymczasem pomysł p. de Laveley'a dąży do czegoś wbrew przeciwnego. W praktyce — tam gdzie nacyjonalizm domagałby się ustanowienia pełnego prawa nowego, tam ustroj p. de Laveley'a musiałby żądać odwołania całego tuzina praw istniejących.

Niech mię jednak nie spotka zarzut, że zbyt jednostronnie i w oświeceniu zbyt uczuciowem przedstawiam utopiję przeciwnika. Przypatrzmy się raczej jej stronie ekonomicznej. Wyobraźmy sobie,

głową z pałającymi oczami, w których widniała, nienawiść i pogarda bezdenna. I ona była panią siebie, jak lód zimna, jak satyr szydercza Jacyż byli do siebie podobni...

— Pan siostry mojej bronić nie będziesz... — rzekła z niezłomnem postanowieniem. — Udałam się do pana, nie wiedząc o niczem. Dziś — wolę aby zginęła, niżbyś pan ją miał uratować...

Zdawało się przez chwilę, że on własnymi rękami zdusi zuchwałą, że ją zabije. Ale opanował się zaraz.

— Ja się ciebie o to nie pytam — rzekł zimno. — Ciebie o pozwolenie nie proszę. Zrobię, jak zechcę...

— Nie.

— Jako! więc ty dziecko szalone myślisz że się ciebie ulękę... Tyś gotowa na siostrze wymódz, aby nie przyjęła mojej obrony... prawda! ty tak zrobić zamysłasz?

— Tak.

— A zatem się dowiedz że wcale nie zobaczysz siostry. Ja jeden z nią widywać się będę, ona się nie dowie o niczem. Ja będę między wami pośredniczył. Każde słowo twoje przezemnie do twej siostry dojdzie — a potem — potem ja potrafię obronić ją nietylko przed sądem, ale przed światem i ludźmi! Z tobą... dzisiaj mówić nie pora...

Teraz ona o krok się cofnęła, zgruchotana jego siłą i wolą.

Ha — prawda... on mógł przecie tak zrobić... On śledził na jej twarzy grę wrażeń.

że świat, oszołomiony widzeniem społeczności, wcielającej zasady niepokromionego niezem sobkostwa, postanowił usunąć wszelkie ludzkością nacechowane prawodawstwo ubiegłych dwu tysięcy lat, oraz urządzić się na podstawach: „każdemu pracownikowi jego wytwór, cały jego wytwór i nie ponad wytwór”.

Naprzód, skoro człowiek będzie miał prawo „jedynie do swego wytworu”, to ztąd przyjdzie do władania swoją osobą, oraz siłami swemi na wyłączny swój użytek. Zarzut ten nie wyda się nam dziwnym, gdy pomyślimy tylko, że za cywilizacji dawnych, a i dzisiaj w krajach barbarzyńskich rodzice uważani byli i są za bezwzględnych posiadaczy swych dzieci; jakoż gdyby słuszną była zasada p. de Laveleye'a, winniby oni byli pozostać nimi, gdyż żadne wytwarzanie nie jest tak mozolnem kosztownem i kłopotliwem, jak wytwarzanie i chowanie istot ludzkich. Zasada p. de Laveleye'a, w logicznem następstwie swem, wymagałaby wskrzeszenia patryjarchatu.

Powtóre, jeśli pracownik, w „imie sprawiedliwości najświętszej” ma posiadać prawo do swego wytworu i „tylko do wytworu”, to w jaki sposób będzie on mógł przywłaszczyć sobie część ziemi i jej zasobów, których nie wytworzył. A jednak, póki ich sobie nie przywłaszczy, to niewątpliwie nie wytworzy nic, a nawet nie znajdzie miejsca na któreby mógł stanąć. Ale, przypuśćmy, że obie te trudności pokonano jakoś, i przypatrzmy się pewnym niedogodnościom praktycznym, jakie wynikłyby z zastosowania powyższej zasady. Oczywiście jest, że skoro każdy pracownik ma posiadać cały swój wytwór „i nie ponad wytwór”, tedy nie może on korzystać z jakichkolwiek bogactw odziedziczonych. Prawo dziedziczenia musiałoby przeto być zniesionem. Ale któż, w takim razie, będzie zabierał sobie dobra nieboszczyków? W ustroju p. de Laveleye'a nie mogą one ani przechodzić do spadkobierców, ani też stanowić własności wspólnej. Należałoby je więc chyba palić.

Dalej, jakkolwiek w podobnym stanie rzeczy pracownik może gromadzić i zużytkowywać wytwarzany przez siebie kapitał, to jednak nie może on mieć z niego renty, lub wypożyczać go komuś na procent albo bez procentu. Nie będzie mógł najmować albo mieć pomoconików, z którychby ciągnął zyski, gdyż zyski te byłyby oczywiście czemś, co nie jest już jego wytworem własnym. Na tej samej zasadzie nie mógłby on przystać do jakiegokolwiek spółki, gdyż w takich razach wytwór

— Dziecko moje! — rzekł głosem łagodnym czy też szatan ciebie opętał? Czemu mnie nienawidzisz tak strasznie? czy was matka w tem uczuciu chowała?

Czarne oczy dziewczęcia zabłyśły ponurym ogniem.

— Czemu ja nienawidzę pana? — powtórzyła w zamyśleniu — i pan, co musisz znać z końca w koniec życie, pytasz o to? A któż sprawcą wszystkiego złego? Kto nam przy urodzeniu wycisnął na czole piętno hańby? Alboż my, dzieci nieprawe, nie miałyśmy przed sobą zapory nieprzebytej nigdy? Co dla nas było dostępnem? Czy życie rodzinne? a któż nam da swoje nazwisko? Żeśmy pracę uczciwą znalazły, to dzięki temu jedynie, że ludzie zapominają prędko... Myśmy przecie nie prosiły o życie... pan wiedziałeś chyba, co nas czeka. — Czemuście nas nie podusili w kołysce? to byłby dobry uczynek... Wszak my ludźmi, jak inni jesteśmy... w naszej duszy wre życia pragnienie, w żyłach krew się gorąca gotuje, wasza krew, panie! wszak ją znacie! A tutaj mur przed nami i tylko głowę rozbici o niego... Och! przeklinałam ja pana nie raz, nie znając — przeklinałam codzień, co godzina... Ty, dla paru lat szalu, nie wahałeś się trzy ludzkie istoty wtrącić w otchłań... Czy pan rozumiesz: co to jest życie nieprawo-urodzonej dziewczyny? czy ty wiesz, ile na każdym kroku upokorzeń ona znosić musi... Och nienawidzę pana, nienawidzę każdą fibrą mej duszy! Z chwilą, gdy się dowiedziałam, że nie mam praw żadnych do życia, znienawidziłam siebie, żeś mi to życie narzucił...

U ADWOKATA.

(Ciąg dalszy).

— O! czemuż... czemuż — zawołała wreszcie — tylko tyle ci wstydu przynoszę! Czemuż tylko z nas jedna skalana — czemuż jam dotąd czysta została i swojej hańby rzucić tobie w oczy nie mogę! Ale przyjdzie pora i na to! przecie dziś jam odtrącona od ludzi chociaż bez winy. Ha! panie możny, usłyszysz ty jeszcze o Wandzie aktorce, jeszcześmy nie skończyli ze sobą — tymczasem — żegnaj!

On się zerwał na równe nogi i słuchał jej w osłupieniu... W jego oczach malowała się trwoga. — On przestraszył się tej dziewczyny, tak pięknej wspaniale a strasznej, jak furiya grecka...

Ale strach ten trwał jedną chwilę. W mgnieniu oka do drzwi poskoczył, zakręcił klucz w zamku i zimny, straszny, spojrział córce twarzą w twarz.

— Milcz, szalona... — ozwał się, hamując gniew, co go ogarniał — milcz i nie budź tego, co śpi we mnie, bo to niebezpiecznie... Ja ci nie dam się ztąd ruszyć krokiem, aż póki cię nie zwalczę — rozumiesz... A teraz... teraz rozpoziedz mi ponownie tę sprawę nieszczęsną, nie pomijaj ani słowa jednego... Z tobą rozprawię się później... teraz tamtą ratować mi trzeba...

Wanda nie ustąpiła na krok. Stała z założonymi na piersiach rękami, z dumnie podniesioną

dwóch ludzi miesza się i niemożliwością się staje upewnić się, że każdy ma „tylko swój wytwór”. W wypadkach kooperacji można byłoby zgodzić się na jakiś podział: po połowie, po jednej trzeciej, czwartej i t. p. ale taki porządek obrażałby wielce ideały „najświętszej sprawiedliwości” p. de Laveleye'a. Co do nowożytnej zasady zawilego i wzajemnego podziału pracy, w którym każdy pracownik wykonywa jedną z dwudziestu może robót, wchodzących w zakres danego wytwarzania, co do systemu przeto, od którego w znacznej mierze zależnym jest dzisiejsze bogactwo, to, naturalnie, należałoby go zarzucić a natomiast powróciłoby trzeba było do dawnej metody jednostkowego wytwarzania niezależnego — z kąd mielibyśmy nieobliczone marnotrawstwo sił ludzkich i uzdolnień. Istotnie, aby można było bodaj w przybliżeniu ocenić wytwór każdego z pracowników, każdy z nich musiałby koniecznie być oddzielonym. Ale skłonność ludzi do wzajemnego pomagania sobie jest tak wielką, że dopóki się społeczność nie wykształciła do wysokości ideału „sprawiedliwości najświętszej” p. de Laveleye'a, pożądanem byłoby, aby do każdego z pracowników wyznaczono po jednym policyjancie, któryby zapobiegał wzajemnej wymianie usług i pomocy.

Jednakże, w najwyższym stadium Laveleye'owskiej doskonałości sprawa pozbawiania jednostki wszystkich dóbr, nie przez nią wytworzonych, nie byłaby jeszcze skończoną. Dla jednostki wielce niebezpieczną jest rzeczą takie stawanie do pojedynku z jej społecznością, takie porównywanie zasług ich obu, jakiego domagałaby się zasada pana de Laveleye'a. Wszystko, cokolwiek człowiek dzisiejszy wytwarza ponad wytwór swego jaskiniowego przodka, wytwarza on może dzięki nagromadzonemu wysiłkom, wynalazkom i ulepszeniom pokoleń minionych oraz społecznej i przemysłowej maszyneryi, będącej ich spuścizną. Wszystko to, czego sumą ogólną jest cywilizacja, stanowi wspólne dziedzictwo naszego rodzaju, kapitał społeczności. Dobra jej nie doszły do nas jakąś dającą się wysłedzić drogą zasług jednostkowych i przez żadną jednostkę nie mogą być uważane za własność. Są one jedynie wspólną własnością ogółu. Za spuściznę cywilizacyjną jednostka jest dłużnikiem ludzkości; za użytkowanie zeń ludzkość jest jej wierzycielem; osobnik może mieć do niej prawo jedynie pod warunkiem stałej względem społeczeństwa daniny obowiązków. Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy części w wytworze każdej je-

dnostki są wynikiem jej społecznego dziedzictwa i otoczenia społecznego. Pozostała część byłaby prawdopodobnie hojnie obliczonym równoważnikiem tego, co „święta sprawiedliwość” wydzieliłaby jej, jako „jej wytwór, całkowity jej wytwór i nie ponad wytwór”.

Uwzględniając to, cośmy powiedzieli wyżej, nie unikniemy chyba wywodów następujących. Sprawy ludzkie, dzięki nieskończeniu długiemu okresowi życia zbiorowego, tak się już ze sobą splątały, że rozwikłać ich niepodobna. Gdyby nawet dla takiego rozplątania uznano za rzecz odpowiednią rozczłonkowanie społeczności na jej pierwiastki najprostsze, rozsznuć do najdrobniejszych nitki całej tkaniny cywilizacji, ofiara ta byłaby daremną, gdyż nawet wówczas ziemia i jej zasoby — do której ludzie nie mają innego prawa, oprócz praw wspólnych, pozostałaby podstawą wielkiego wytwarzania.

Dziedzictwo ludzkie przeto zbudowanym być winno i może jedynie jako dobro wspólne, zasadniczo niepodzielne, względem którego wszystkie istoty ludzkie są zarówno spadkobiercami. Dotychczas pomijano tę wspólność praw i równość, gdyż spadkobiercy musieli wywalczać i wyzebrywać to, co każdy z nich mógł być zdobyć i utrzymać pojedynczo. Dzięki rozwojowi umysłowości ludzkiej świat spostrzega, że obłęd ten niesprawiedliwości cierpiącym dłużej być nie powinien. Jedno jest tylko wyjście. Świat i to, co się na nim znajduje, uznaniem będzie za własność wszystkich, rządzoną ku wspólnemu dobru. Nacyjonalizm przedstawia właśnie plan takiego urzędzenia i prowadzenia spraw ludzkich.

RASY LUDZKIE.

(R. Verneau. *Les races humaines.*)

II.

Zaznaczyłem już, że pierwsze badania naukowe w dziedzinie etnologii zjawiły się dopiero około połowy XVIII wieku. Łatwo zrozumieć, że nauka o rasach mogła powstać wtedy tylko, kiedy poznano przynajmniej główne odmiany rodzaju ludzkiego. Uczeń niemiecki, którzy szukają początków każdej nauki w starożytności klasycznej, mianowali ojcami etnologii Herodota i, ma się rozu-

mieć, Arystotelesa. Można cofnąć się dalej jeszcze w głąb wieków i zaznaczyć, że egipcjanie za czasów XII dynastji, t. j. mniej więcej na 2300 lat przed naszą erą, odróżniali cztery rasy: *Rot*, czyli egipcjanie, rysami twarzy przypominający dzisiejszych fellahów a malowani na pomnikach farbą czerwoną, *Namu* — ludy azyjatyckie z orlimi nosami (semici), malowani na żółto, *Nashu* (*Naszu*, *Uauaitu*) — murzyni z kędzierzawymi włosami i *Tamahu* — biali z niebieskimi oczami. Pomniki odtwarzają dosyć dokładnie cztery typy znanych ówczesnym egipcjanom ludów. Są to bardzo ogólne dane, ale w każdym razie dokładniejsze, aniżeli szczegółowe opisy Herodota, Ktezyjasza, a nawet Strabona, przeplatane fantastycznymi wymysłami. Dzieło Herodota nie jest bynajmniej „kamieniem węgielnym” historii, geografii i etnologii, żadna bowiem, najumiejtnej stosowana metoda porównawcza nie da rezultatów dodatnich, jeżeli materiały nie jest wiarogodny. U Hipokratesa i Arystotelesa znaleźć można wiadomości pewniejsze, ale dorywczo tylko podane, jak np. opis Scytów, czaszek makrocefalów, uwagi o krzyżowaniu różnych ludów i t. p.

Rzymianie, chociaż mieli bezpośrednią styczność z rozmaitymi ludami i rasami, nie pozostawili żadnych systematycznych opisów. U Cezara jednak i innych autorów znajdujemy cenne nieraz wskazówki, stwierdzone przez późniejsze badania antropologiczne i paleoetnologiczne.

W średnich wiekach nawet te wiadomości, jakie mieli o ludach i rasach innych części świata pisarze greccy i rzymscy — idą w niepamięć. Wprawdzie podróżnicy arabscy dostarczają wielu ciekawych danych, ale poznaliśmy ich dopiero w ostatnich czasach. Europejczycy znali tylko część Azji mniejszej i Syrii, o murzynach w epoce wieków średnich krążyły fantastyczne legendy, jak również o mongołach i tatarach. Opisy kilku podróży (Plano Carpini, Marco Polo, Pardenone) stanowią jedyny materiał etnologiczny, a raczej etnograficzny.

Dopiero w końcu XV i na początku XVI wieku, w epoce wielkich odkryć geograficznych rozszerza się odrazu widnokrąg wiadomości o świecie i ludziach. W 1492 r. Kolumb odkrywa Amerykę, w sześć lat później Vasco de Gama, idąc za przykładem wcześniejszych żeglarzy portugalskich, opływa Afrykę i zwiedza Indie, wreszcie w 1520 r. Magellan przedsiębierze pierwszą wyprawę na około świata.

— Twoja matka...

— Matka odpokutowała ciężko za winę pewno nie swoją. Ja wiem, jak wy wabić umiecie; wszakże mnie już wabił niejeden... Ja wiem jakie skutki z tego. Biedna matka zamęczyła się pracą. Nie żyła ona z ludźmi wcale, a dzień jej każdy zatruty był myślą o nas i o naszej przyszłości... Konęła zwolna z wyczerpania, z dniem każdym jej sił ubywało, suchoty ją wreszcie zabiły. Kara była dla niej tylko; wina zaś po stronie pana... A dzisiaj — dzisiaj pan stoisz u szczytu potęgi i chwały, nie troszcząc się o to, coś za sobą zostawił po drodze... Słabszy ma ustępować silnym! prawda? Ha! jam przecie dziecko wieku, mnie daremnie na pensji uczono, że trzeba woli bożej się poddać! Jam nie z tych, co się poddają pokornie, ale z tych co losom rzucają w twarz rękawicę. Ja się poddawać nie umiem! I dlatego ci rzucam nienawiść moją, dlatego żal mi, że ci więcej wstydu przynieść na razie nie mogę, dlatego ci zapowiadam, że nie dam ci siostry mej bronić, boś ty sprawcą wszystkiego złego, które niechaj na twą głowę spadnie!

I zaśmiała się spazmatycznym śmiechem, który w płacz gwałtowny przeszedł, i runęła jak duża nie ziemię, rzucając się w ataku nerwowym, w drganiach konwulsyjnych, co wstrząsały nią z taką siłą, że piękna głowa głucho o podłogę tłukła. Pan adwokat rzucił się do niej, jak piórko w ramiona chwycił, złożył na otomanie i przycisnął do siebie tak mocno, jakby nigdy już puścić jej nie miał... Ha! prawda, ona miała słusność ta dumna, straszna, ta nieugięta dziew-

czyna, która w twarz mu nienawiść rzucała, broniąc prawa do siebie i siostry... Jak to dawno już temu było... Jak on tę kobietę, matkę tej, którą trzymał w objęciach, przed laty ukochał namiętnie... Miłość to była studencka, szalona... Cztery lata ze sobą przeżyli... A potem... Potem? potem on zaszalał za inną, a że nie zwykł oglądać się nigdy, ruszył za tamtą w obce kraje...

Gdy wrócił, wyleczony z szafu, chciał przecie wynagrodzić krzywdę... Nazwiska swego dać nie myślał — bo nie mógł przecie zwichnąć karyjery... Jakaś biedna nauczycielka... gdy on mógł między wszystkimi wybierać. Zresztą już przestał ją kochać... Żeniąc się, szukał przecie stosunków... Chciał zapewnić przyszłość tych dzieci, ale z dumą go odtrącono, zabraniając zetknięcia każdego... On i tak był wtedy w kłopotach... życie wrzącą falą płynęło... i zapomniał swojej pierwszej miłości...

Przypuszczał, że za mąż wyjść musiała...

I oto teraz, jak fatum nieubłagane, staje przed nim ogniwo ostatnie tego łańcucha, który on przed laty zadzierzgnął... I jakby w kalejdoskopie migają mu przed oczami różne kobiece postacie, które wplątały się w życie jego... I oto się cofnął ze zgrozą... A kto wie, czy w tej krainie zbrodni, co mu była chlebem powszednim, nie otarł się już razy kilka o dzieci własne... Kto wie, czy to było raz pierwszy...

Gwałtowniej do siebie przycisnął tę dziewczynę, co osłabła z bólu ciężko mu na ręce opadła, prawie zemdlona, dysząc trudno, wyczerpana atakiem nerwowym. Och! tej on już nikomu nie odda, — bo to przecie krew ze krwi jego,

dziecię miłości gorącej, na które zlały się hojnie przyrodzone dary... On dumny był z takiej córki, dumnym być przecie miał prawo... On tamtą wyrwie z paszczy niedoli, obronić przecie potrafi a potem zagranicę wywiezie, otoczy wygodami, ukoi, pocieszy... Życie będzie pięknem dla nich...

I zwolna, miłośnie, coraz mocniej przyciskając do piersi odnalezioną córkę, zaczął przed jej oczami roztaczać obraz tej wysnionej przyszłości. Ukazywał jej powaby życia, zaręczał, że on potrafi dla nich uczynić je pięknem. Ludzie... ach! cóż ludzie znaczą! tak łatwo zapanować nad nimi... Nikt o niczem wiedzieć nie będzie. Wynajdzie im mężów i będzie się jeszcze cieszył ich szczęściem przyszlę... Sprawa będzie się toczyć przy drzwiach zamkniętych, później one zmienią nazwiska, wyjadą zagranicę — a tam stworzą sobie życie nowe... On utworzy im kółko ludzi, z którymi będą swobodne...

Wanda, zrazu słów jego słuchała, nie rozumiejąc ich treści. Nawał wrażeń zламаł dziecko nieszczęsne. Z przymkniętymi oczami leżała na ojcowskiej piersi, nie wiedząc, co z nią się dzieje. Powoli przychodziła do siebie i zaczynała rozumieć, co do niej mówiono... Wpół omdlała widziała przed sobą obrazy, które wywoływał jej ojciec, czuła ciepło jego ramion, co ją dotąd obejmowały, przez wpółotwarte oczy widziała twarz, pochyloną nad sobą. Słowa ojca płynęły potokiem, ona siły nie miała ich przerwać...

(Dok. nast.)

Powstaje wówczas teoria sławnego Paracelsa (1493 † 1541), którą następnie w XVII wieku rozwinął Pereira, a właściwie Izaak de la Peyrère. Według niej ludzkość dzieli się na dwie grupy: *adamitów*, t. j. potomków Adama, do których należą ludy europejskie i niektóre azjatyckie, oraz *pre-adamitów*, stworzonych przed naszym praojcem, przedstawicielami których są rasy murzyńska i amerykańska. Pre-adamici byli jakby nieudaną próbą stworzenia człowieka, są to istoty niższe od nas, wolno więc zmuszać je do pracy, dreczyć, a nawet tępić. Okrutna ta teoria miała na celu przedewszystkiem usprawiedliwienie niewolnictwa, przyczyniła się jednak ubocznie do postępu badań etnologicznych, otwierając wyjście z zamkniętego koła tradycji religijnej. Z tego względu dopatrzeć można szczególnego podobieństwa między doktryną Paracelsa i Pereiry a poglądami spóźniejszych antropologów amerykańskich: Mortona, Gliddona i Notta, którzy, broniąc słuszności niewolnictwa, uzasadniali naukowo wielopochodność ras ludzkich i przyznawali się niewątpliwie do postępu nauki.

Od Paracelsa więc datuje się powstanie dwóch doktryn — poligenizmu i monogenizmu. Jedno czy wielopochodność rodzaju ludzkiego jest zasadniczym pytaniem w antropologii, zwłaszcza zaś w etnologii. Pod wpływem teorii transformizmu zarówno monogenizm, jak i poligenizm klasyczny straciły grunt pod nogami, niemniej jednak oba kierunki, jakkolwiek w zmienionej formie, do dziś dnia istnieją w nauce. Obie doktryny posiadają mniej lub więcej stanowczych wyznawców i chlubią się głośnie nazwiskami. Do poligenistów zaliczyć można: Ray'a, Bory Saint-Vincent'a, Virey'a, Desmoulins'a, Mortona, Gliddona, Notta, Knoxa, Hunta, Agassiza, a poniekąd Karola Vogt'a i in., natomiast jedności rodu ludzkiego, jakkolwiek w rozmaitem pojmowaniu, bronili Linneusz i Blumenbach, Cuvier, Humboldt, Lamarek, Darwin, Baer, Virchow, Bastian, Quatrefages, nawet Kollmann, który dowodzi niezmienności typów ludzkich. Zobaczmy niżej, że na gruncie transformizmu umiarkowani wyznawcy obu doktryn zbliżają się ku sobie, dotychczas jednak sporne to pytanie nie jest stanowczo rozstrzygnięte.

Po epoce wielkich odkryć, które rozszerzyły widnokrąg badania, następuje okres zastoju i dopiero w połowie XVIII wieku zaczyna się nowa era wielkich podróży. Jednocześnie prawie Cook, Pallas i Bruce wyprawiają się w podróż. Odkrycie Australii i wielu archipelagów Polinezyi, zbadanie północnej Afryki i Azji środkowej były rezultatem tego ruchu. La Perouse, Forster, Mungo-Park, Dampierre, Bory Saint-Vincent, Georgi, Gmelin, Le Vaillant, Müller, Steller i inni przyczynili się do poznania różnych ziem i ludów, wreszcie w początkach bieżącego stulecia Humboldt i d'Orbigny dali przykład wyłącznie naukowym podróżom, które do dziś dnia nie ustają, zasilając wciąż antropologię i etnologię nowym materiałem.

W końcu XVII wieku anglik Ray ustanawia pojęcie gatunku i stosuje je do ras ludzkich, których jednak nie określa. W 1694 r. Bernier, po powrocie z podróży zamorskich, dzieli rodzaj ludzki na 4 rasy: białą — w Europie, żółtą — w Azji, czarną — w Afryce i laponką — w krajach północnych.

Linneusz w znakomitem swym dziele *Systema naturae* (1735) określa miejsce człowieka w szeregu innych stworzeń. W systemacie jego rodzaj *Homo* ma 3 gatunki: *homo sapiens*, *ferus* i *monstruosus*, i wespół z rodzajem *Simia* (małpa) tworzy rząd *Primates*. *Homo sapiens* przedstawia 4 odmiany: europejską, jasnowłosą, niebieskooką i z białą cerą; azjatycką o cerze żółtawej, z czarnymi włosami i ciemnymi oczami, afrykańską o skórze barwy ciemnej, prawie czarnej, z włosami czarnymi, kędzierzawymi, z nosem płaskim i grubymi wargami, wreszcie amerykańską — z cerą ciemno-czerwonawą, długimi, czarnymi włosami i pozbawioną zarostu.

Dodać trzeba, że Linneusz za podstawę klasyfikacji ras przyjmuje nie tylko właściwości anatomiczne i fizjologiczne, ale również psychologiczne i obyczajowe. W schemacie jednak, jaki podaje, zasady tej nie stosuje. Zasługi jego w dziedzinie etnologii zwiększa ten fakt, że był inicjatorem całego szeregu (11) podróży naukowych do północnej i południowej Ameryki, południowej Afryki, Egiptu, Arabii, Indyi, Chin, Japonii i t. d.

Jako przeciwnik Linneusza występuje Buffon, w rzeczywistości jednak prowadzi dalej jego dzieło, zwłaszcza w dziedzinie etnologii. Przyjmuje

on jedność rodzaju ludzkiego i wielość odmian, których wszakże nie klasyfikuje szczegółowo. W drugim wydaniu swej pracy korzysta już z rezultatów podróży Cook'a i Bruce'a. Fakt ten wskazuje, jak niedostateczny, szczerzyły zapas materiału posiadał Buffon i jak genialnie umiał z tych nielicznych danych skorzystać. Opisując rasy ludzkie, nie stara się ich metodycznie uporządkować, jakkolwiek kwestyje pochodzenia i stosunku bardzo go obchodzi. Każda z 4 (niektórzy twierdzą, że Buffon przyjmuje 6) ras głównych przedstawia kilka odmian. Buffon pierwszy odróżnił hottentotów od murzynów i zrobił wiele trafnych spostrzeżeń, które utrzymały się w nauce. Niektórzy pisarze francuzcy nazywają go z dumą ojcem etnologii lub antropologii.

Właściwie jednak podstawę naukową etnologii, która, w dziełach Linneusza i Buffona ma charakter prawie wyłącznie opisowy — dał pierwszy Blumenbach. W młodzieńczej pracy swej *De generis humani varietate nativa* (1775 r.) dowodzi, że ilość odmian, jakie przedstawia rodzaj ludzki, jest bardzo wielką, a różnice między najbliższymi nieskończenie małe. Wszystkie jednak odmiany sprowadzić można do 5 głównych ras: kankazkiej, mongolskiej, etyjopskiej, amerykańskiej i małańskiej. Nazwy te nie są właściwe, o czem sam Blumenbach dobrze wiedział, dotychczas jednak nie zastąpiono ich lepszymi, jakkolwiek podział ten bardzo był popularny i w większości podręczników geografii i historii przyjęty.

Ale najważniejszym dziełem Blumenbacha są wydawane przezeń w przerwach wielu lat *Decadae craniorum diversarum gentium*. Jemu to mianowicie za to dzieło należy się tytuł ojca antropologii, pierwszy bowiem rozpoczął pomiary czaszek. Klasyfikacja ras Blumenbacha opiera się przeważnie na cechach fizycznych. Etnologija, jak to kilkakrotnie zaznaczałem, zwraca uwagę i na inne właściwości, zawsze jednak podstawą wszelkiej klasyfikacji etnologicznej muszą być właściwości fizyczne ras ludzkich. Szczególny nacisk kładzie na to nawet Quatrefages, chociaż bowiem znacznie rozszerza zakres etnologii, twierdzi jednak, że bądź co bądź jest ona gałęzią nauk przyrodniczych i powinna używać właściwych im metod badania. Współczesnym Blumenbachowi był znany podróżnik i działacz społeczny Georg Forster, zmarły w 1794 roku. Bastian, wychwalając go nadmiernie, uważa za twórcę porównawczego ludoznawstwa, w samej rzeczy jednak praca Forstera *Ueber die Menschenrassen* nie ma naukowego znaczenia. Zasługą jego jest zwrócenie uwagi na zdolność t. zw. ras dzikich do przyjęcia cywilizacji. Humanitarny myśliciel, świetny pisarz — Forster ma dosyć tytułów do sławy, żeby miał sięgać po zaszczyty nie zasłużone.

W tym czasie kiedy Blumenbach swoimi opisaniami i pomiarami czaszek utrwalał przyrodnicze podstawy nauki o rasach, powstała i szybko rozwijać się począta nowa gałąź wiedzy — filologia porównawcza, która rzuciła nowe światło na badania etnologiczne, jakkolwiek później niewłaściwe stosowanie rezultatów językoznawstwa przyczyniło się do pogmatwania i tak już dosyć zawikłanych kwestyj spornych. Pod pierwszym wrażeniem sądzono, że za pomocą lingwistyki można będzie rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości etnologiczne. Latham i Omalius d'Halloj przyjęli języki za podstawę klasyfikacji ras. Tymczasem późniejsze badania wykryły, że typy językowe nie odpowiadają bynajmniej typom rasowym, że ludy, należące niewątpliwie do różnych ras, mówią językami pokrewnymi i na odwrót. Nie znaczy to jednak, że wskazówki językoznawstwa nie mają żadnej wartości, owszem, są one nieraz bardzo cenne, ale korzystając z nich trzeba ostrożnie i porównywać z innymi danymi. Pewne właściwości w budowie mowy i w fonetyce wskazują czasem pokrewieństwo dwóch ludów, mówiących nawet językami, należącymi do grup odmiennych. Kładzenie przedimka po wyrazie, wspólne językom rumuńskiemu, bułgarskiemu i albańskiemu pozwala np. twierdzić, że trzy te ludy mają wspólny, aczkolwiek nie określony dotychczas pokład etniczny.

Określanie powinowactwa rasowego na zasadzie języka stanowi błąd bardzo upowszechniony, powtarzany nie tylko przez profanów, ale i przez ludzi nauki, którzy mówią np. o rasie romańskiej, albo słowiańskiej, kiedy właściwie żadnego typu wszechsłowiańskiego nie ma. Quatrefages, który ostrzega, żeby nie popełniać tego błędu, sam weń niekiedy wpada, jak to zobaczymy przy przedstawieniu jego klasyfikacji.

Prichard skorzystał pierwszy z danych lingwistycznych, ale porównał je z danymi anatomicznymi i fizjologicznymi w dziele p. t. *Researches into the Physical History of Man*, wydanem w r. 1813. W ciągu kilkudziesięciu lat Prichard przerabiał i uzupełniał swoje dzieło: pierwsze wydanie zawiera 1 tom, drugie — 2, trzecie (1836 i 1837 r.) — 5 tomów. Na swój czas była to możliwie najzupełniejsza, najgruntowniejsza praca w zakresie etnologii, współcześni pisarze francuzcy, którzy pragnęli naśladować Pricharda, nie mogli mu dorównać. Nie znał on jednak nauk przyrodniczych, chociaż uznawał, że na nich etnologija opierać się powinna i od nich brać metodę badania, z tego względu dzieło jego, dziś jeszcze cenione wielce przez antropologów, posiada wiele braków. Prichard dzielił rodzaj ludzki na 7 ras.

Prawie jednocześnie z dziełem Pricharda zjawiają się we Francji próby napisania historii naturalnej człowieka, które podejmują Virey, Bory de Saint Vincent, Lacépède i Desmoulins. Z prób tych najmniejszą wartość naukową posiada dzieło Virey'a — *Histoire naturelle de l'homme* (przełożone na język polski), jakkolwiek ono cieszyło się największym rozgłosem. Bez względu na swą wartość, dzieło to stanowi jakby epoką w rozwoju etnologii, Virey bowiem występuje pierwszy jako zdecydowany zwolennik poligenizmu i dzieli rodzaj ludzki na dwa „gatunki“, z których każdy obejmuje po 3 rasy. Za podstawę do podziału bierze kąt twarzowy, stosownie do tego czy zawiera 85° czy mniej. Pierwszy gatunek ludzki obejmuje 1) rasę białą, z dwoma podrasami arabsko-indyjską i celtycko-kaukazką, 2) brunatną, z trzema podrasami chińską, kałmucko-mongolską i laponką, oraz 3) rasę miedzianą amerykańską. Do drugiego gatunku należą rasy małańska, murzyńsko-kafrjska i hottentocko-papuaska.

Na kąt twarzowy, jako na ważną oznakę antropologiczną, przed Vireyem zwrócił uwagę w końcu ubiegłego wieku Piotr Camper, artysta duński.

Z lekkiej ręki Vireya poligenizm zyskuje licznych wyznawców i liczba gatunków w rodzaju ludzkim rośnie szybko. Desmoulins liczy najprzód 11, później zaś 16 gatunków, które utożsamia z rasami, Bory de Saint Vincent przyjmuje 15 gatunków a znacznie więcej ras. Autor ten za podstawę podziału bierze włosy, w czem naśladował go później Geoffroy de Sainte-Hilaire, następnie zaś Huxley i poniekąd Topinard. Pierwsza grupa *leiotrichi* zawiera 11 gatunków: 1) japetycki (rasy kaukazka, pelazgijska, celtycka i germańska; 2) arabski (rasy atlantycka i adamińska); 3) hinduski; 4) scytyjski; 5) sinicki (chiński); 6) hyperborejski; 7) neptunijski (rasy małańska, oceanijska i papuaska; 8) australazjski; 9) kolumbijski; 10) amerykański; 11) patagoński. Do 2-ej grupy *ulotrichi* należą gatunki: 12) etyjopski; 13) kafrjski; 14) melanezyjski i 15) hottentocki.

Klasyfikacja Desmoulins'a, zdaniem takiego poważnego krytyka jak Topinard, posiada wartość nie małą i ofituje w zestawieniu subtelne a śmiałe, których słuszność stwierdzać może nowsze badania. Dodaje on cztery nowe gatunki: kurylski, papuaski, atlantycki i negro-oceanijski, kaukazki pojmuje w ścisłym znaczeniu ludów Kaukazu, sinicki Bory de Saint Vincenta nazywa mongolskim i zalicza doń gatunek hyperborejski, do scytyjskiego zalicza rasy indogermańską, fińską i turecką, znosi zaś gatunki japetycki i patagoński.

Desmoulins przy klasyfikacji zwraca uwagę nie na jedną cechę wybraną, ale na cały szereg właściwości, jak barwa skóry, uzębienie i uwłosienie, wzrost, kształt głowy i twarzy i t. d. Podobnie jak Prichard i Bory de Saint-Vincent, bierze on również pod uwagę geograficzne rozmieszczenie ras i stara się wybrać grupy naturalne.

Jako zacięty przeciwnik poligenizmu występuje głośny Cuvier, który dzieli ludzkość na trzy rasy, wedle koloru skóry i zgodnie z tradycją biblijną. Nie przeczuwał zapewne, że pojęcie niezmienności gatunku, które on właśnie ustanowił, posłuży później poligenistom za oręż w walce z odrodzonym i przekształconym pod wpływem teorii transformistów monogenizmem. Agassiz, wierny wyznawca Cuviera, jest zarazem najgorliwszym obrońcą wielopochodności ras ludzkich.

Poligenizm nigdy nie był doktryną, powszechnie przyjętą w nauce, ale w epoce po 1830 r. zyskiwał coraz to więcej zwolenników, co trwało aż do chwili zjawienia się teorii ewolucyjnej.

J. L. Popławski.

Fouillée o M. Guyau

napisał

Henryk Marion.

I.

Wyszła świeżo w Paryżu książka Fouillée'go p. t. „La morale, l'art et la religion“ d'après M. Guyau.

Śmierć M. Guyau (31 marca 1889 r.) godzi się nazwać stratą publiczną dla Francji, bo chociaż umarł w 33-cim roku życia, był już chlubnie znany przez tych wszystkich, co myślą, i poważany przez tych, którym przyszłość ich kraju jest drogą.

Zasnaczył się on, jako myśliciel i jako pisarz. Jednym z najlepszych przykładów, jakie dawał młodzieży, było to właśnie, że w nim myśliciel i pisarz zlewali się w całość nierozdzielna. On, poeta — on, artysta — zamknięty w formie, wrażliwy, jak nikt inny, na muzykę wyrazów — on, władający po mistrzowsku wszystkimi środkami języka, nigdy nie uważał formy za cel i posługiwał się piórem dla tego tylko, aby uwydatnić myśli i uczucia. Jego proza, potoczna, żywa, malownicza, naturalnie wymowna — jego wiersze, często krótkiej piękności, osiągają najwyższe efekty, nie uganijając się za nimi. Nigdy nie czuć w nich wysiłku. Niektórzy nazywają misterną formę jego retoryką, ale mylny to sąd: język M. Guyau, chociaż kunsztowny, zawsze więcej czerpie z myśli, aniżeli ją podnosi.

Należy więc zebrać idee rozsiane w jego pracach (mówimy tu jedynie o jego własnych i o tych, które w zupełnie nowe formy ujął), aby ocenić, jakie miejsce zajmował pomiędzy teraźniejszymi filozofami i jaką rolę odegrał w przesileniach myśli tegoczesnej. Można tu przyjąć za pewnik, że każdą ideę tak wyraził, iż doszła do maximum swej siły.

Wydawnictwa zagraniczne zabrały się już do tego inwentarza zagadnień, które postawił samodzielnie lub przydział w nową szatę, których rozwiązanie przyspieszył albo też cofnął.

Pewne pismo madryckie, organ dzielnego towarzystwa *la Institucion libre de Ensenansa*, które cudów dokonywa na polu szerzenia światła i postępu wychowania publicznego w Hiszpanii, zamieściło w swych łamach bardzo dobre studjum o działalności pisarskiej M. Guyau, z powodu i ze szczególnem uwzględnieniem jego przyczynków do teorii wychowania. Istotnie, jedną z jego prac pośmiertnych jest znacznej wartości, i wysoce zasługujące na uwagę „studjum społeczne“ p. t.: *Wychowanie i dziedziczność*¹⁾. Specyjalne pisma nie omieszkają pewno rozebrać go gruntownie, my zaś tymczasem spróbujemy streścić i scharakteryzować w krótkości główną ideę tego wielkiego krzewiciela myśli, wyłaniającą się ze wszystkich prac i notat autora, oraz z wyjaśnień tego, który go znał najlepiej.

Rzeczywiście, nie poprzestając na wydaniu wszystkich dzieł, pozostałych po M. Guyau, których wykończenie musiało go kosztować ogrom pracy, dodał A. Fouillée jeden tom (z pięknym wizerunkiem) zawierający treść i wnioski ostateczne. Co większa, zaczął odtąd zamieszczać w przeglądach badania nad rozmaitymi punktami doktryny swego przyjaciela — a jak wielką była potęga spekulacyjna Guyau, dowodzi to, że filozof tak bogaty sam przez się, jak Fouillée, zapożycza teraz od niego treści do swych świetnych i doniosłych artykułów, które rzuca, rzec można, pełnemi garściami.

Wychowanie Guyau było silnie idealistyczne; ztąd — nie mówiąc o dziedziczności, będącej niewątpliwie głównym czynnikiem jego umysłu i charakteru — ta poezja myśli, ta wzniosłość natchnienia moralnego, z którymi nie wziął rozbratu nawet wtenczas, kiedy się wyzuł z wszelkiej religii i pożegnał z wszelkim dogmatyzmem. Już Kant, jeden z jego mistrzów w moralności, wtajemnicząc go w prawa ideału, wtajemniczył jednocześnie i w prawa śmiałości krytycyzmu. Gdy się zapoznał z umiejętnościami, a w szczególności z naukami biologicznymi i teorią przeobrażeń, która je tak gruntownie przekształciła, dostrzegł zaraz, jakie nowe żywioły wniosą najpierw do krytycyzmu,

a potem do myśli systematycznej, gdy ona zechce odzyskać swe prawa, zmieniając stanowczo punkty zapatrywania się. Jego samodzielność polega na tem, że może dalej, niż ktokolwiek inny, posunąć krytycyzm, i na tem również, że znalazł jednocześnie w danych nauki elementy systematu wierzeń, zarazem ostrożniejszego i bardziej spójnego — jego zdaniem, systematu, w każdym razie, wielkiej wartości estetycznej i praktycznej.

Dla Guyau dwie rzeczy mają wartość najwyższą i przedstawiają interes, wytrzymujący wszelką krytykę: życie i piękno. Ponieważ zaś życie rozwija się w całej pełni tylko w społeczeństwach, ponieważ, z drugiej strony, sztuka może kwitnąć jeno w życiu społecznym, przeto idea społeczeństwa jest trzecią ideą podstawową w jego filozofii i wprędce staje się w niej ideą panującą i centralną. Wydane obecnie jego prace słusznie otrzymały wszystkie nazwę studjów społecznych, bo jeśli inni przyczynili się może więcej, aniżeli M. Guyau, do nadania *socjologii*, tej rodzącej się nauce — metody ścisłej i podstawy pozytywnej, to nikt znowu nie przyłożył się bardziej do wykazania jej związku z całym obszarem wiedzy ludzkiej, jej odrębnego miejsca pośród umiejętności, oraz wyższego interesu, jaki przedstawia. Wszystkie zagadnienia filozoficzne są dlań odmłodzone i uproszczone jedynie mocą tego, że je wyraził terminami społecznymi. Szczególniej zagadnienie moralności, tak zawikłane, gdy jednostka rozważa tylko sama siebie, staje się względnie prostem, skoro ona widzi w sobie żyjącą część całości żyjącej, część ciała, w którym solidarność jest prawem harmonii i dobrem najwyższem.

W taki to sposób jest sprowadzona, uzupełniona i, prawdę mówiąc, przeobrażona współczesna moralność angielska: miejsce utylitarysty, jej słabej strony, zajęło poczucie jedności społecznej, dobra wspólnego, w którym jednostka ma udział i to tym większy, im się doń bardziej przyczynia. Doktryna rozwoju została uznana i całkowicie przyswojona, ale do mechanizmu ślepego, który jest jedynym jej czynnikiem u Darwina i Herberta Spencera, przybywa — zrazu wprawdzie nieświadoma, lecz zdolna podnieść się do wiedzy i kierować umiejętnie rozwojem — siła nieważka idei, oraz miłości.

Fouillée nie wypowiada tego, ale nam wypada zaznaczyć, jak widoczny jest wpływ jego teorii idei — na te poglądy M. Guyau, które z wielu względów są tylko świetnem jej zastosowaniem. Jak życie tych dwu filozofów było ściśle z sobą zespolone, tak też prace ich pozostawały w bliskim związku. Oni sami chyba zdołaliby zakreślić granice (a może też i nie) gdzie się kończy udział każdego z nich. Będzie to coraz trudniejsze do uskutenienia, gdyż Fouillée, ogłaszając idee Guyau i wykazując ich wartość, w części dodaje, w części odbiera tylko coś swego.

Ale o cóż chodzi? Pospołu dali ten dobry przykład, że wierzą w praktyczną doniosłość filozofii, że dążą do spożytkowania wysokich spekulacyj myśli dla ulepszenia życia ludzkiego. Niektórzy skłonni są stawiać im to jako zarzut, rozumiejąc przez filozofję, jeśli nie prostą igraszkę umysłu, to przynajmniej czystą kontemplację, bez związku bezpośredniego z życiem. Oni, przeciwnie, posuwając równie daleko, a Fouillée może nawet dalej, niż ktobądź inny, dyalektyczną subtelność i giętkość, starali się głównie przywrócić filozofii jej funkcję społeczną. Oni są z rzędu tych, co wierzą, że filozofia powinna oświecać narody, tak samo jak i jednostki, i przewodniczyć im w dążeniach ku lepszemu stanowi, wysnuwając z danych umiejętności przynajmniej tymczasowe rozwiązanie zagadnień, nastroczających się każdej epoce. Byłoby to wielką przysługą, wskrzesić dziś pojęcie, które panowało zawsze wówczas, kiedy filozofia była żyjącą. Byłoby to wielką przysługą względem filozofii, która bez tego żywego poczucia swej siły i odpowiedzialności jest tylko ćwiczeniem szkolnem. Byłoby to wielką przysługą dla praktycznego działania pod wszelkimi formami, którego rozległość i godność wznaga się w miarę tego, jak się wznosi po nad empiryzm, czerpiąc natchnienie w poglądach szerszych i bardziej bezinteresownych.

Troska o przeznaczenie człowieka nie ze względu na samego siebie, lecz na gatunek cały, troska, która jest podstawą religijnego uczucia w tem, co ono zawiera najszczytniejszego, była nieustającą myślą M. Guyau, stanowiła interes dramatyczny nie tylko jego doktryny, ale życia jego i śmierci. Szczególniej śmierci, bo życie jego było zupełnie szczęśliwe, o ile można sądzić zewnętrznie; i jeżeli zawsze w swej prozie przezroczyściej i w wierszach

harmonijnych traktował zagadnienie przeznaczenia w tonie poważnym, to nie mniej też i z pogodą ducha. Lecz gdy śmierć zbliża się, mimowoli upatrujemy w tem zagadnieniu coś tragicznego, zwłaszcza, kiedy dotknęci w pełni młodości i szczęścia chorobą, o której wiemy, że jest nieuleczalną, musimy patrzeć przez kilka długich miesięcy na nadechodzący smutnie przedwczesny kres.

Nie się nie równa słodyczy, z jaką Guyau, poddał się śmierci, i może nie nie przewyższa piękną kart, które napisał pod jej natchnieniem. Głosiłibyśmy swobodniej ich pochwały, gdyby Fouillée nie złożył najwyższego hołdu rzeczonym kartom, twierdząc, słusznie, że widnieje w nich „wzniosłe natchnienie“ że tu jest „Paskal, tylko mniej zakłócony“, że nie równie pięknego nie napisano o nieśmiertelności duszy od czasu *Fedona i Etyki*.

Guyau nie wierzy w taką nieśmiertelność duszy, jak ją powszechnie ludzie rozumieją, ale dopuszcza istnienie wyższego życia. Rzeczywiście, jeśli nauka nie udawadnia, że jest takie życie, to nie przekonywa także, iż ono niemożliwe. Zagadnienie to, dobrze postawione, może być rozwiązane i przy pomocy hipotez śmiałych, lecz bynajmniej nie niedorzecznych, dałoby się dziś jeszcze przełożyć na język filozoficzny symbole święte religii, odnośnie do przeznaczeń duszy. Ponieważ nie nie ginie, coś z naszych działań i postępów przeżywa nas, a czyż się nie żyje tam, gdzie się działa? Człowiekiem uczciwym jest ten właśnie, kto chce przedewszystkiem odżyć w swych dobrych czynach, a czyn nasz dąży niejako do nieskończoności. Nawet pod względem fizjologicznym dobro, które usiłowaliśmy spełnić, nie jest stracone, bo myśl i pragnienie kształtują organy. Samo nawet urojenie, byleby zawierało jakiś choćby mglisty element prawdy, jest siłą niezniszczalną. „Odziedziczymy nie tylko to, co ojcowie nasi dokonali, ale i to, czego nie mogli dokonać — ich niewykończone dzieła, ich usiłowania, napozór nieużyteczne. Odczuwamy jeszcze drgania wszelkich poświęceń i ofiar przodków naszych, tak samo, jak na wiosnę czujemy, że serca muska nam tchnienie wiosen przedpotopowych i miłości z trzeciorzędowej epoki“.

Śmierć tylko pozornie jest przeciwstawieniem życia; można w niej, również widzieć tryumf życia ogólnego nad jedną z jego form szczegółowych. Każda jednostka „jest rzeczywiście przejściowem zdrętwieniem życia“, zastojem, snem śmiercią przemijającą. Alboż śmierć człowieka nie jest, naodwrot, jakby wyzwoleniem od życia, które nie przerywa swego biegu wiekuiętego?

Ale czyż w tej nieśmiertelności życia i działań nie można spodziewać się niczego dla osoby? Dopóki idzie tylko o mnie, mało mię to obchodzi; ktokolwiek myśli, wprędce uczy się niewiele brać swoje ja w rachubę, usiłując jednak sumiennie wywiązać się ze swego zadania we wszechświecie. Ale zniweczenie ukochanych! Jakże się nie buntować, kiedy przyroda uśmierca najszlachetniejsze umysły i wielkie serca? Jakże miłość może rozgrzeszać śmierć? Matka nigdy, nigdy nie przystanie na to, że w dużych oczach dziecięcia, które trzyma na kolanach, niema nic wiekuięcego żyjącego, nie osobistego, nie wyjątkowego; że ta istotka, o której marzy, iż będzie dobrą, wielką, w której przezuwa świat cały, jest prostą przypadkowością gatunku. Nie, jej dziecko nie jest podobne do tych, co żyły, ani do tych, co żyć będą. Alboż które może mieć takie spojrzenie! Wszystkie uśmiechy, co kolejno osiadają na licach pokoleń, nie będą nigdy tym oto uśmiechem, który rozjaśnia, tu przy mnie, ukochaną twarz! Cała przyroda nie ma nic równającego się jednostce, którą może zabić, ale zastąpić inną — nigdy nie zdoła! Tak to miłość pragnęłaby zachować jednostkę, którą, rozwój naturalny chce poświęcić. Otóż, według Guyau, miłość ma racyję: jedyną jej winą jest to, że przesadza swe uroszczenia, albo źle umieszcza nadzieje“.

Tu następuje pomysł bardzo ciemny, ale niezmiernie interesujący, jest to zarys hipotezy, kojarzącej dążenia miłości z negacyjami nauki. Alboż samowiedza jednostki nie jest już pewnego rodzaju świadomością zbiorową? Tak samo, jak ona, wynika z postępu organizacji; kto wie, czy postęp późniejszych czasów, czy rozwój nieokreślony organizacji samopoznania nie doprowadzi świadomości osobniczych do przenikania się wzajemnego, do zlewania się z sobą, do zdobywania pospołu nieśmiertelności; kto wie czy nie połączą się z sobą tem, co mają lepszego i wytrzymalszego. To zupełne zjednoczenie się świadomości, w któ-

¹⁾ Dzieło to wyszło niedawno w przekładzie polskim.

rem zresztą każda jednostka mogłaby zachować własny odcień, kojarząc się obok tego z odcieniem cudzym, oto o czym marzy, do czego już dziś dąży miłość, która, sama będąc jedną z sił przyrodzonych i społecznych, nie może działać daremnie. Jest to tylko marzenie, ta palingeneza, która urzeczywistniłaby ideał moralny i religijny, pozwalając żyć wszystkim świadomościom na łonie jednej rozleglejszej samowiedzy. Dla M. Guyau wystarcza tego, żeby to marzenie „ultranaukowe nie było, antynaukowem“. Może gdyby żył dłużej, zdołałby je przyoblec w ciało, dzięki skarbowi swego umysłu i języka.

Czy ten panteizm moralny wystarcza, czy nie wystarcza innym duszom, czy sam M. Guyau wierzył w ten stanowczo, nie jest to pewne, ale co nie ulega wątpliwości, to to, że kołysany temi myślami, uciszył ducha swego i z rzadkim spokojem wyglądał chwili krytycznej. Prawda, że spokojem, któremu nie trzeba jednak dowierzać, gdyż w słowach Guyau, które zwrócił do tych, co się lękają śmierci, przebija silne wzruszenie. On rozumie tę trwożę, chociaż jej nie doznaje. Jakżeby mógł opuszczać bez udźwignięcia wszystko, co miał opuścić? Nie gromadziły tak wielu pociech, gdyśmy znaleźli jedną dostateczną.

„Nie być tchórzem“ — oto pierwsza przyczyna, żeby się poddać śmierci. O ile stoicyzm błędził, kiedy wobec śmierci cudzej nie rozumiał cierpienia miłości, kiedy śmiał zabraniać przywiązania i nakazywać obojętność — o tyle miał słuszną, gdy mówiąc nam o naszej śmierci, nakazywał być wyższymi nad nią. Innej pociechy niema prócz tej jednej, iż możesz sobie powiedzieć, żeś dobrze żył, żeś spełnił swe zadanie i że możesz myśleć, iż życie będzie płynęło bez przerwy, po tobie, może trochę przez ciebie; że wszystko, coś kochał, żyć będzie; że to, coś najlepszego myślał, urzeczywistni się gdzieś napewno; że wszystko, co było nieosobistego w twej świadomości, wszystko, co się tylko przesunęło przez ciebie, cała ta nieśmiertelna ojcowizna ludzkość i przyroda, którą otrzymałeś i która stanowiła twą lepszą część — wszystko to będzie żyć, trwać, wznosić się bez ustanku, udzielać się znowu, nie zatracać siebie; że świat uboższy jest tylko o jedno zwierciadło, które się rozprysło; że wieki ciągną się rzeczy rozpoczynają zaraz na nowo swój pochód, że ty nic nie przerywasz. Zdobycie zupełnej wiedzy tej ciągłości jest zredukowaniem do właściwej wartości tej pozornej przerwy — śmierci jednostki, która jest może tylko rozwiązaniem się pewnego rodzaju złudzenia żyjącego.

Na co się zdała rozpacz? Po co wołać o pomoc, kiedy nikt nie słyszy, i chcieć przebłągać nieugiętość? „Tylko poddanie się jest właściwe, i pewne, zadowolenie wewnętrzne jeszcze właściwsze, a najwłaściwszym ten oderwany od życia (?) uśmiech inteligencji, która wszystko rozumie, nad wszystkim czyni spostrzeżenia, interesuje się wszystkim, nawet zjawiskiem swego własnego zgaśnięcia“.

Wskutek upowszechnienia wiadomości medycznych, mnoży się ilość wypadków, w których śmierć, przewidywana napewno, staje się przedmiotem pogodnego wyczekiwania. Takie jednostki wzruszają się zgonem Bersot'a, lecz nie doznają obawy. „Lepiej jest widzieć i wiedzieć do końca, niż schodzić po szczeblach życia z zawianami oczami“. On widział śmierć zbliżającą się, miał czas rozważyć ją należycie, a nigdy nie zapragnął, ażeby zasłona jakiegoś nieracjonalnego wierzenia rozpostarła się pomiędzy nim a nią. „Jakkolwiek ta śmierć świadoma siebie nie jest bez gorczy, tu jednak, gdyby wybór był dozwolony, taką powinien może wybierać prawdziwy filozof, umysł, pragnący do ostatniej chwili nie mieć nic ciemnego, nieprzewidzianego i niewyrozumowanego... Dla tego zwolennika wszystkiego, co nieznanego, śmierć przedstawia jeszcze powab czegoś do poznania; po narodzinach jest to najbardziej tajemniczą nowością życia osobniczego“.

„Jeżeli najpospolitsza śmierć, która zwykle porywa nas niespodziewanie w pełni życia i zapału do walki, zredukowana do kilkogodzinnej kryzysu, przez samą nagłość swoją staje się straszną dla większości ludzi, to znowu inne zjawisko występuje, gdy ona przychodzi do nas z wolna, odbierając nam stopniowo siły... Umalenie jestestwa sprowadza odpowiednio umalenie wszystkich pragnień naszych; mniej żywo życzymy sobie tego, do czego czujemy się mniej zdolni. Choroba i starość przedewszystkiem odejmują zawsze powab w naszych oczach uciechom, których nas pozbawiają;

zaprawiają je gorczyzą, zanim je uczynią niemożliwymi... Niemożność życia — gdyśmy jej świadomi, powoduje niemożność pragnienia życia. Sami czujemy, że się rozpraszamy, rozpadamy na cząstki, obracamy w proch jestestw i niemamy już siły odzyskać siebie... Inteligencja zaczyna już zresztą opuszczać biedne, znużone ja, zaczyna mierzyć z zewnątrz naszą małą wartość i rozumieć, że w przyrodzie zwiędły kwiat nie ma już prawa życia, że owoc dojrzawy musi oderwać się od drzewa. W pozostałej nam jeszcze części wrażliwości albo myśli panuje tylko to jedno uczucie, żeśmy zmęczeni, bardzo zmęczeni, chcielibyśmy ukończyć, wyzwolić od napięcia życia, wyciągnąć się, rozplątać! Jakoż umierający rozumieją tę najwyższą radość i czują się gotowi do wypoczynku na ostatnim łożu ludzkim. Nie zazdroszczą już nawet żyjącym, których szereg przedstawia im się w marzeniu, ciągnie się do nieskończoności i stąpa po tej ziemi, w której oni legną do snu wieki. Podobni są do podróżnego, który, znużony ziemiami dziewiczymi i puszciami, trawiony tą silną gorączką, właściwą krajom gorącym, która wyczerpuje, zanim pozbawi życia, pewnego dnia nie chce iść dalej, zatrzymuje się nagle, kładzie się. Nie ma już odwagi do widnokrugów nieznanym, nie może już znosić wszystkich małych wstrząśnień pochodu życia. Domaga się nawet, żeby go towarzysze porzucili, żeby bez niego podążyli do celu ludzkiego, i wtedy, rozciągnięty na piasku, przygląda się życzliwie bez jednej łzy, bez jednego pragnienia falującej karawanie braci, gdy się ona zagłębia w beznamierny widnokrąg, ku nieznanemu, którego on nie zobaczy“.

Jakże smutne są te piękne karty! Są one ludzkie w swej szczytności i dlatego wywierają tak silny urok. Sprawiają to, że, spoglądając z większej wyżyny i z mężniejszym sercem na własne przeznaczenie, jest się bardzo wzruszonym przeznaczeniem autora.

Tak to w Guyau, pisarzu czujemy wszędzie człowieka. Dusza żyjąca i drgająca uczuciem ożywia i ubarwia we wszystkich jego pismach i coraz bardziej, w miarę, jak się zbliżamy do ostatnich — myśl śmiałą, subtelną, zdumiewającą zarazem giętkością i szerokością. Chociaż jego życie, całe poświęcone pisaniu, nie powołało go do rozwinięcia pod zwykłymi formami przymiotów czynu, które mówić każą o człowieku: „to jest charakter“ — był to charakter, śmierć jego to stwierdziła. Był to człowiek niewątpliwie — i gdy się pomyśli, jakiego żalu byłby wart dla samej inteligencji, dla darów dydaktyki, myśliciela i pisarza, trudno się obronić uczuciu, że nawet kraj, najbogatszy w talenty, musi być niepokieszonym po takiej stracie

Z. Gr.

Z berlińskiej wystawy.

I.

Gdyby ktoś w sztuce nowoczesnej szukał tradycji wielkich mistrzów włoskiego „quattrocenta“ i „cinquecenta“ to znalazłby może resztki spuścizny owej „graziata affabilita“, którą Vasari w biografii Rafaela tak często podnosi, ale napróżno oglądałby się za namiętną duszą Michała Anioła, która, nie mogąc przelać całej potęgi w twarde marmury, zostawiła w twórcach swoich jakieś ostatnie słowo zagadki, coś niedopowiedzianego i urwanego.

Błądząc po przybytkach wystawy berlińskiej zdaje się niekiedy jakoby gdzieś z daleka dolatywała nas melodia owej gorącej pieśni bez końca, którą Michał Anioł Buonarroti wypiewał w utworach swoich, ale chwilę tylko trwa miłe złudzenie i wkrótce żrenica nasza znów patrzy znużona na tę mdłą manierę wdzięku, na tę ulizaną kokieteryję, na szablon modnego pędzla i dłuta. Nie zmarnowane jeszcze zupełnie dziedzictwo Rafaela, ale cóż większość wnuków zrobiła z tych skarbow, które jej patryjarcha sztuki przekazał. Owa „graziata affabilita“ wielkiego mistrza w ciągu stuleci zmieniała się przeważnie w elegancyję zalotną; tamta była złotym blaskiem greckiego błękitu, szczerym nimfy kąpiącej się śmiechem, klasycznym wdziękiem natury, ta tu natomiast jest wymuszonym ust skrzywieniem uperfumowanej kokotki. I rzecz dziwna! nawet z tego kraju, który tak ściśle jest złączony z pojęciem sztuki, że niepodobna wymówić słowa „sztuka“

nie myśląc przytem o Włoszech, nawet z tego kraju Rafaelów, Leonardów, Donatellów sztuka ustępuje a zrzeczność techniczna święci tam swoje tryumfy. Opuszczając salony włoskiego oddziału, ma się wrażenie podobne mniej więcej do tego, jakie opanowuje duszę na widok karkołomnych produkcji zgrabnych linoskoczków, ale napróżno szukać tam będziesz owego nieskończonego piękna, które przykuwa do miejsca czarem i potęgą swoją. Ponad biogłosem cyrkowego artysty albo eskamotera, która na razie przemówi niekiedy do widza, ale przy głębszym zapatrzeniu nuży zewnętrznością swoją, mało tylko włoskich wynosi się kreacyj. Takie „Corpus Domini w Abruzzach“ pędzla Michettiego świadczy o wielkiej poprawności techniki, ale ta poprawność właśnie wstrętem nas przejmuje. I rzemieślnik umie być poprawnym, od artysty my duszy żądamy. Ta sama pretensjonalność i zrzeczność uderza w Taverniera obrazie „Rzym od południowej strony Palatynu“, a ludek berliński gapi się i szepeje: So natürlich, so malerisch, wundervoll!

Kto wie, czy w tych sympatyjach tłumu nie leży cząstka winy płytkości sztuki nowoczesnej, bo nie tylko artysta kształci otoczenie, ale i otoczenie kształci artystę. Rozkochany w zręcznych efektach zewnętrznych tłum mimowoli wpływa na twórczość artystyczną, a malarz liczy się z tanim gustem tych, którzy chleb mu dają. Ponad zwykły szablon przeciętny wynosi się Bazzarego „Krajobraz alpejski“, z którym chyba tylko Chełmońskiego wspaniałe płótna walczyć mogą o lepsze. Milszą mi stokroć przedziwna prostota tego obrazu od wszystkich sztuczek włoskich malarzy, którzy właśnie sztuczkami swemi dowodzą, że do zadań prawdziwej sztuki nie dorosli jeszcze. Wspomniłem Chełmońskiego i trudno mi myśl już oderwać od niego, choć Włochy jeszcze nie mało następczą materjału do artystycznej gawędki. Jeżeli w nowoczesnej sztuce niemieckiej, włoskiej, hiszpańskiej i węgierskiej napróżno szukasz indywidualizmu narodowego, jeżeli nie jesteś zwolennikiem kosmopolitycznego arcyzmu i pragniesz upoić się przedziwną odrębnością słowiańską, to stań przed obrazami Chełmońskiego i patrz w nie długo a długo. Mówią że cesarzowa Fryderykowa na widok ich szepnęła: To muzyka Chopina! a wykrzyk ten świadczy, że angielska dusza odczuła pokrewność słowiańskiej lutni i pędzla słowiańskiego, odczuła odmienność polskiej sztuki i to wielkie a tak inne serce polskiego artysty. Jednolitość nastroju, bijąca z każdego obrazu malarza, przedziwnie piękna strona kolorystyczna wszystkich płócien jego i ta potężna subiektywność odczuwania przyrody obok wielkiego realizmu w szczegółach — więzi uwagę, durzy i upaja. Cóż znaczy krajobraz z fotograficzną stworzoną wiernością, gdy brak mu owej indywidualnej zaprawy artystycznej, która jest niezbędnym znamieniem prawdziwej sztuki? Na wystawie berlińskiej znajdują się obrazy, przemawiające do nas pedantyczną wiernością odtworzenia, ale długo nas one nie nęcą, bo zdaje nam się, że to aparat fotograficzny tworzył te kształty, barwy i skrócenia.

A. Chełmoński? Jeżeli prawdą jest, że był podobno niegdyś artysta, któremu w chwili, gdy rysował konia w galopie, zdawało się, że sam biegnie na wywał, to przekonany jestem, że mistrz nasz musiał mieć równie intensywną halucynację, gdy tworzył kuropatwy na śniegu. Tylko ten, który przejął się dołą szarego ptaka i marzył wśród wielkiej śnieżnej płaszczyzny bez końca i bez nadziei, mógł taki nastrój przelać w płótno swoje — i nie dziwiłbym się wcale, gdyby mi artysta powiedział, że się przy pracy zaziębił. Musiałbym wyczerpać cały słownik komplementów, gdybym chciał szczegółowo się rozpiszać o wszystkich obrazach Chełmońskiego, gdybym chciał mówić o tym przedziwnym „koncercie żab“, o tych „liljach wodnych“ rozsutych na srebrnym lustrze jeziora, o tej „wiosnie“ gdzie tyle kwiatów, tyle słońca i tyle powietrza, że suchotnikom poradziłyby trzeba, aby tu stanęli i płuca swoje rzeźwili. Powiem więc tylko, że nigdzie nie znalazłem tyle temperamentu artystycznego, chyba w wspaniałym obrazie Brandta, Weissenhoffa „ementarzu białoruskim“ i Hirschenberga „Talmudystach“. Ten ostatni obraz świadczy najlepiej o tem, jak nierówną jest często artystyczna produkcja i jak fałszywą jest tendencja niektórych historyków sztuki (Herman Grimm) ażeby np. wszystko, co ze względu na pewne charakterystyczne właściwości pędzla uchodzi za dzieło Rafaela, ale nie stoi na wysokości innych jego ogólnie uznanych arcydzieł, bezwarunkowo z listy utworów wielkiego mistrza wykreślać.

Dziś każdą lichotę, którą stworzył Rafael, uważają za dzieło Pietra Perugino, a każdą znakomitość, którą stworzył Perugino, przypisują Rafaelowi, co wskutek niejakiego pokrewieństwa stylowego obu malarzy zyskuje na prawdopodobieństwie. Czyż jednakże najlepszy nawet artysta nie ma chwil słabych w swem życiu? Czy autor „Beniwskiego“ nie wyśpiewał także „Srebrnego snu Salomei“, a twórca Fausta takich zdawkowych utworów jak „Lila, Triumph der Empfindsamkeit“ itd.? W dwóch obrazach Hirschenberga jednak, umieszczonych w pałacu berlińskiej wystawy, uderza o-prócz różnicy artystycznej wartości i dziwna nierówność stylowa, która do wiele rzadszych należy objawów. W „Talmudystach“ przedstawia nam malarz grono żydów, siedzących w brudnej izdebce około stołu wielkiego. Jedni zatopieni w mądrościach Talmudu, znużoną żrenicą pochłaniają literę, drugich już sen umorzył i głowę na księdze złożyli, inni wreszcie w głębokiem zamysleniu gdzieś w dal spoglądają. Czuć, że w tej izbie powietrze jest ciężkie, które jak kamień ciąży na mieszkańcach, czuć, że tam jest parno, i że wielkiego wysiłku woli potrzeba, by, oczu nie zamykając, nad Talmudem śleczęć. Senna ta atmosfera uwidacznia swe działanie, wyciskając w żydów obliczu, pozie i ruchach znamienne piętno zmęczenia fizycznego i umysłowego. Nastroj obrazu jest dziwnie harmonijny, ludzie i otoczenie zlewają się w całość jednolitą nad którą królują jakieś wielkie „milieu“ bezwładności. Wobec tego małego arcydzieła ogarnia nas pewne zdziwienie, gdy niedyskretny katalog opowiada, że i „portret rodziny S.“ wyszedł z pracowni Hirschenberga.

Artysta odtworzył tutaj licznych członków żydowskiej rodziny, zgromadzonych w wykwintnym salonie, a przypuściwszy nawet, że materyjał trochę był twardy, darować nie można malarzowi w wysokim stopniu niezręcznej techniki i martwoty obrazu. Każda z figur zdaje się być wyciętą z żurnalu mód i nalepioną na wielkie płótno, a o ile w talmudystach znać pędzel szeroki i siłą męzką, prawdziwie, o tyle tu uderza niesmaczne muskanie i elegancja wymuszona.

Wielki złoty medal otrzymał Józef Brandt za obraz p. t.: „Pieśń zwycięstwa.“ Na szerokim stepie widzimy tu hufiec kozaków, a w twarzach ich błyska radość i natchnienie, a usta rozchylone ślą pieśń tryumfalną w błękity, a konie rżą i parskają jakoby odezwały, co w sercu się dzieje kozaka.

Tłumy ludzi gromadzą się przed arcydziełem malarza naszego, podziwiając malowniczość jego i to życie indywidualne, które bije z każdej twarzy i z każdego ruchu. Melodyja pieśni rozlaną jest na całym obrazie i zdaje nam się, że co chwila ozwa się, jak niegdyś w Dodonie, dźwięki tajemnicze. Ta śpiewność płótna mistrzowskiego jest zdaniem naszym największą zaletą jego, bo w niej uzewnętrznia się potęga artystycznego czucia i to nieograniczone przelanie całej duszy w istotę obrazu. Jest na wystawie w oddziale rzeźby dwoje rąk załamanych, w których artysta wypisał tak wielką i tak bolesną tragedję, że widz wrażliwy miewa halucynacyję jęku i płaczu. I w tej potędze uczucia szukać należy różnicy między techniczną zręcznością a sztuką. Tamta stworzy ręce załamane, ta w to załamanie wsącza boleść wielką, tamta rzuci na płótno garść śpiewających wojowników, ta obraz cały roześpiewa.

Takie utwory, jak Brandta i Chełmońskiego, to oazy wśród wielkiej pustyni. Z takimi oazami spotkamy się w dalszej wędrówce jeszcze raz po raz, ale niechaj wędrowcy zbroją się w wytrwałość, bo w stosunku do pustynnego obszaru niewiele źródeł ożywczych znajdujemy.

Z cyklu „Poezji bez poezji“.

I. Matka.

Piers grała strasznym jękiem. Ona blade czoło
Niema, patrząc w noc jasną, oparła na szybie,
A pusto i ponuro było na okóło
W tej lodowej jaskini, kędy nędza dybie,
I kościste swe dłonie do uścisku spleta,
Jak polip zaczajony w topielisku na dnie,
Chwyci słabą ofiarę ramionami kata,
A gdy puści — trup siny na piasek upadnie.

Głucho było i straszno. Tylko dech tłumiony
Parą leciał z ust cichych, lecz zanim skroplony
Po brudnej spłynął ścianie, w lód ścisnął się szary
I zamierał bez ruchu wśród zimnej pieczary.
Nagle w kącie, na słomie, kędy dziecię małe,
Okryte łachmanami, spoczywało we śnie,
Płacz odezwał się — ona zadrgała boleśnie
Pobiegła ku postaniu i pisklę skostniałe
Łkając, cisnie do piersi: „Śpij, śpij mój maleńki!“
I tuląc drobne rączki w jedwabny włos miękki
Długo, długo milczała. Usnęła dziecina...
Matka, uspiwszy pisklę, które chłód ocucił,
Sama drżąca od zimna, wybladła i sina
Zadrgała głośnym jękiem: „O Boże! porzucił!“
I znowu smutna cisza — lecz w kobiety oczach
Jakieś dziwnie jarzące tliły się płomienie,
To jak słońca blask złoty we wodnych przezro-
To jak piorun prujący nawałnicy cienie. [czach,
A na czole zmarszczonem ujrzałeś męczeństwo,
A na ustach zaciętych wisiało przekleństwo...

Żywym niegdyś był trup ten, a choć los sierocy
Nie wypieścił go w puchach i nie tulił w złocie,
Z igłą w rękę, przy pracy od ranka do nocy,
Złe nie było wśród ludzi niewinnej sierocie.
Wtem przyszedł panicz piękny z kuszącym us-

[miechem,
Z pieśnią słodką na ustach, z namiętnem spojrzeniem
I szeptał w uszko czule, że miłość nie grzechem
I witał ją westchnieniem i zęgnął westchnieniem.
Czasem dłoń do gorącej przykładał jej twarzy,
A dłoń ta była miękką, jako puch leciutka,
I pieścił ją całunkiem, który lica parzy,
Godziny zmienia w chwile, wołając: „za krótkal“
A w pocałunków lawę wplatał szept ponętny:
„Dziewcze! śnieżne ramiona zarzucić mi na szyję
I w uścisk luba! w uścisk spletać je namiętny,
Niechaj słodkie całunki z ust karminu piję,
Niech skroń rozpieści technienie wrzące oddechu,
A oczy iskień pełne toną w twym uśmiechu“.

I rwał ją coraz silniej na gorące łono,
I tuląc ją w objęciach, wołał czule: „Żono!...
A potem przyszło dziecię. Ludzie, czy wy wiecie,
Czem dla matki cierpiącej bywa pierwsze dziecię?
Świat jak marmur jest głuchy, a w piersiach pani-
Miasto serca lód zimny i twarda opoka; [cza
Przyszedł, popatrzył na nią, lecz z jego oblicza
Wiał chłód tylko lodowy, a z ciemnego oka
To niechęć, to znudzenie biły, jako łuna,
Jako wróżby prorocze smutnego zwiastuna.
Więc ból ścisnął pierś matki, chwytając go za rękę
I, wskazując na dziecię, krzyknęła: To nasze!
A on, śnać widząc w twarzy jej przestach i mękę,
Pogłaskał blade lica, pocałował ptaszę,
Sięgnął po garść talarów, na łożu je rzucił,
Uściskał ją raz jeszcze, poszedł i nie wrócił.
Ach! myślała nieszcześnie, że takiej boleści
Biedne serce samotne chyba nie pomieści.
A jednak przecierpiała i zalana łzami
Karmiła dziecię swoje. Mijały dni smutne,
Lecz z dniem każdym wyraźniej za niskimi drzwiami
Po cichu widmo nędzy stawało okrutne.

Wreszcie brakło pokarmu, więc, uspiwszy dziecię,
Biegła do magazynu za chlebem, za pracą,
I zagasała żrenicą rzucając po świetle
Myślała, że jak dawniej ludzie jej zapłacą...
Wchodzi, salon był wielki... koleżanek roje,
Otoczone kosztownym modnych szat przepychem,
Obojętną żrenicą patrzyły na stroje,
Zdobione koronkami, haftowane szychem.
Ona patrzeć odwykła, więc staje zdumiona
I nieśmiało usty szezcze powitanie,
Cisza... cisza na okół, tylko z dziewczyn grona
Niby śmiech usłyszała, a niby sarkanie.
Wtem drzwi się otworzyły. Przełożona składu
Weszła, — spojrzała na nią błyskawicą gromu,
I wskazując wzgardliwie dłonią drzwi zakładu
Krzyknęła strasznym głosem: Precz z mojego domu!
Wielki Boże! Zadrżała, dech w piersi zapała,
Rumieniec, znamię wstąpił, wystąpił na lica,
Pobiegła jak szalona, podwoje rozwarła,
A za nią biegły śmiechy i krzyk: Ulicznica!
Zimny chłód ją ocucił, deszcz lał strumieniami
I mieszał krople gęste z bolesnymi łzami.
Wtedy strach ścisnął sere... Nagle... tam na prawo
Mignęło coś z daleka. Widzi postać żwawą,
Patrzy, nieba! to panicz! więc zgięła kolana
I wyciągnęła ręce rozpacznie do pana.
On drgnął, odskoczył szybko i, dobywszy złoto,
Opuszczonej kochance rzucił pieniądz w błoto.
W mózgu błędnym zawrzały jakieś głosy mętne,
Miłość wołała „dziecko“, a duma „jałmużna“,
Lecz serce zwyciężyło, wzięła skarby wstrętne,
Bo dziecko było głodne, a pierś matki próżna.

Petem głucha na wszystko, w okropnej pokorze
Biegła do swej dziecińcy, do swej biednej chatki,
Lecz wreszcie siły pękły, upadła na łożu,
Przyszła ciężka choroba, zabrała ostatki.
Boga ból jej nie wzruszył. Bezlitosne nieba
Wciąż gorycz dolewała do smutków kielichu,
Czasami tylko ludzie rzucali kęs chleba,
A gospodarz z litości dał izbę na strychu...
Ha! zimno tutaj, zimno! a lodowe mury
Świecą blaskiem złowrogim, coś niby gromnica,
Jakieś twarze złowrogie patrzą na nią z góry
I krzyczą jej nad uchem słowo: ulicznica!
O! przestańcie jej bluźnić, ona tak kochała,
A on? cyt! czy słyszycie? za oknem kapela
Huczy, słabnie, wybucha, grzmi, rośnie i strzela...
Ciszej! ciszej! śpij dziecię, śpij ptaszyno mała.
Tam na przeciw bal dzisiaj. Złociste pojazdy,
Służba w barwnych liberjach, żwawy rój młodzieży,
Kobiety strojne w złoto i brylantów gwiazdy,
Wszystko skoczne, błyszczące na arenę bieży,
Kędy szumią szampany, brzmia skoczne mazury,
A tu zimne, ponure, puste tylko mury.
A on? On lew salonów, otoczony kołem
Herbowych towarzyszy, bawi się, szaleje,
I, sącąc wonny nektar, z obliczem wesołem
Ciekawe, tajemnicze opowiada dzieje.
Śmiech się rozległ na okół, zagrzmiały oklaski,
Słychać krzyki: Niech żyje Don Żuan, zwycięzca!
Milczecie, milczecie bezwstydnym patrycyuszów wrzaski,
To fałsz! On dzieciobójca, on krzywoprzysięzca!

Już blednąć zaczynała ciemna nocy chmura,
Już słońce powitalne rzuciło promyki,
Gdy w salonach kończono białego mazura
I ostatnie dźwięczały melodyje muzyki.
Zgięł się począł zmieszany, pomknęły karety,
Słychać tłumne rozkazy; turkoty, trzask biczy,
Widać twarze wybladłe, zmięte toalety,
Roje kobiet wesołych i modnych panicz.
Wreszcie wyszedł król balu. Zmęczoną żrenicą
Mdlejąco po zimowej spoglądał naturze,
I zęgnając pojazdy, sunące ulicą,
Z piosnką w ustach o białym rozmyślał mazurze.
Nagle spojrzał ciekawie. Ot! tam ludzi grono
Skupiło się przed domem i gwarzy po cichu,
Jedni kręcą głowami, drudzy wieści chłoną,
A wszyscy spoglądają w okienko na strychu.
Panicz patrzy i pyta; — mówią, że pod dachem
Dwa trupy znalezione matki i dziecięcia,
Oba w jednym uścisku, w kurezowe objęcia
Spowite strasznym mrozem, boleścią i strachem.
A kobiety na stronie w smutnej pogadance
Szepeją coś o paniczu i jego kochance.
Lew salonów usłyszał, spojrzał na okóło
I na lieu ponure mignęły mu cienie,
Jakieś myśli posępne sfałdowały czoło,
Coś niby żal przelotny, a niby wspomnienie.
Potem odwrócił głowę, zatrząsł się od mrozu
I przytuliwszy futro wskoczył do powozu,
A gdy ludzie gwarzyli o biednej dziewczynie,
On zmrużył piękne oczy: Hej! w drogę Marcinie!

W. Rablski.

GŁOSY.

Wyprawa do Brazylii i Argentyny. — Spółka artystycz-
czna. — Pytanie bez odpowiedzi. — Audiatur et altera
pars. — Nadużycia.

— (p.) Dr. Siemiradzki w liście, nadesłanym
z Paryża komunikuje plan wyprawy do Brazylii i
Argentyny. Jeden z członków wyprawy, współ-
pracownik nasz p. Antoni Hempel, już w połowie
czerwca do Brazylii przybył i zwiedzić zamierza
szczegółowo kolonije polskie w prowincyi Parana
i San-Paolo. W sierpniu spotka się z p. Siemiradz-
kim i innymi uczestnikami wyprawy, poczem dwóch
uda się do prowincyi Santa-Catharina a dwóch do
Rio Grande do Sul, bodaj czy nie najodpowiedniej-
szej dla naszych kolonistów. W połowie paździer-
nika wszyscy zjadą się Montevideo, dokąd na ozna-
czony z góry termin przybędą z Europy pozostali
członkowie wyprawy. W listopadzie z karawaną
zbrojną, w kilkunastu ludzi i kilkadziesiąt koni, wy-
ruszą do Bahia Blanca, ostatniego punktu, dokąd
dochodzi droga żelazna — do kolonii Acha, w gubernatorstwie Pampa. Przejechawszy w poprzek ca-
łe to terytoryjum, udadzą się do Chosmalal, w gu-
bernatorstwie Nequen, a zamtąd na południe do
jeziora Nahuel-Huapi, w pobliżu granicy chilij-
skiej. Sądząc z opisów, co prawda niezbyt dokła-

dnym terytorjum Nequen, które posiadać ma klimat umiarkowany, grunta żyzne i lasy, najlepiej nadaje się do kolonizacji przez ludność północną i rolniczą. Od jeziora Nahuel-Huapi wyprawa ruszy z powrotem wzdłuż rzeki Limay, która wspólnie z rzeką Nequen tworzy Rio-Negro, następnie wzdłuż tej ostatniej aż do jej ujścia, przy Carmen de Patagones. Wyprawa potrwa do maja, poczem, w miarę sił i środków, zwiedzi północne prowincje Argentyny, wyłącznie już w celu naukowym. Właściwa więc Patagonia i Ziemia Ognista będą pominięte.

Do składu wyprawy, oprócz d-ra Siemiradzkiego i A. Hempla, należyć będą: brat pierwszego Konstanty; obywatel z gub. płockiej Witold Łażniewski, Mieczysław Korwin ze Lwowa i Wilhelm Kreusch, porucznik huzarów austriackich.

— (x) Przed trzema laty, z inicjatywy p. J. Pawłowskiego powstała w Warszawie spółka artystyczna malarzy, rzeźbiarzy i budowniczych. Spółka otworzyła t. zw. salon, czyli wystawę dzieł sztuki oraz artystycznych wyrobów rzemieślniczych.

„Ze założenie pisze *Kuryjer codzienny* salonu artystycznego nie było bez korzyści, świadczą o tem najlepiej cyfry. W r. 1889-ym (drugim istnienia) spółka miała ogólnego dochodu rs. 14,203, w roku zeszłym cyfra ta podniosła się do rs. 28,897. W tem cyfra zamówień, za pośrednictwem salonu uczynionych, sięga sumy rs. 16,171.

Wykonano zaś:
nowych obrazów 66;
odnowiono dawniejszych zabytków sztuki 16;
odrestaurowano kościół jeden;
robót rzeźbiarskich i snycerskich wykonano 14;
z zakresu sztuki stosowanej 59;
projektów i wzorów dla złotników, stolarzy, ślusarzy, bronzowników i litografów 51.

Majątek spółki wynosi obecnie rs. 2,007. Wspólników komandytowych jest 96-ciu.

Z cyfr powyższych widzimy, iż salon artystyczny rozwija się głównie w dwóch kierunkach: w dziale malarstwa religijnego i sztuki stosowanej. W tym ostatnim kierunku mógłby się rozwinąć daleko więcej.

Niestety jednak, z żalem wyznać musimy, iż rzemieślnicy niechętnie z salonem wchodzi w stosunki, pomimo, iż własny ich interes kazałby czynić przeciwnie. 11-tu tylko uczestników rzemieślników spółka artystyczna liczy. Inni zachowują się względem niej opornie, a na czynione sobie propozycje wystawienia swoich wyrobów w dziale sztuki stosowanej, odpowiadają, iż nie chcą, aby ich wzory kopijowali inni i podawali za swoje...

Dodamy tu jeszcze, że jak świadczy cyfra dochodu, spółka daleko ruchliwiej się krząta i korzystniej dla artystów przy sprzedaży dzieł sztuki pośredniczy, aniżeli Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, które tę sprawę bardzo niedbale traktuje. Czyżby istotnie trzeba było koniecznie pobudek interesu osobistego, ażeby każda instytucja u nas należała do działacza?

— (p). Przed miesiącem *Rola* zamieściła list b. pracownika młyna parowego na Solcu z zapytaniem, co się stało z funduszami „kasy chorych.”

W chwili gdy zakłady na Solcu z pod zarządu b. Banku Polskiego, — a było to w roku 1868 — przechodziły w ręce p. Blocha, już wtedy kasa chorych, — założona i utrzymywana z funduszu ogółu pracowników — istniała. Fundusze kasy wynosiły naówczas, o ile mi wiadomo, 5 do 6 tysięcy rubli, i razem z zakładami przeszły pod zarząd nowej administracji. W dalszym też ciągu kasa owa funkcjonowała, aż do chwili niemal zamknięcia młyna. Wszystkim pracownikom na utrzymanie kasy stracono z ich płac zarobkowych około 4%, wzamian za co mieli oni zapewnić pomoc lekarską, szpital i aptekę. Każdy też z pracowników wiedział, że „na kasę” składa swoje 4 kopiejki od rubla, ale jakie mianowicie z tych składek zbierały się, przez całych lat dziesiątki, fundusze, ile z nich wydatkowano, a ile pozostawało, o tem nikt nie słyszał; nikogo bowiem w tej materii nie objaśniano, a dopytującym się niekiedy o fundusze swej kasy, p. Jelinek nie odpowiadał wcale, lub też odpowiadał — bo i tak się zdarzało — wydalaniem. Gdy zaś, na pewien czas przed zwinieniem młyna straconia „na kasę” zaprzestano, wówczas pracownicy poczuli dopytywać: co się z tą kasą stanie, ale i tym razem pozbyto ich niczem.

Wreszcie zwinienie zakładów stało się faktem dokonany; pracownicy tedy, pragnąc tymbardziej, w chwili utraty miejsc, pozyskać jakikolwiek zasiłek,

zwracają się z prośbą o likwidację kasy i rozdział pomiędzy nich pozostałych ich własnych funduszy, lecz wtedy p. Jelinek odsyła interesowanych wprost do p. Blocha. Udają się więc wedle udzielonej wskazówki, lecz tu znowu służba pałacowa mających prośbę gotową do p. Blocha nie dopuszcza, „odprawiając ich od drzwi. Wracają tedy, odprawieni z kwitkiem przez służbę, znowu do p. Jelinka, który znowu odsyła ich do p. Blocha, a w końcu oświadcza, że kasy nie ma i funduszy nie ma, bo wszystko poszło — na leczenie.

— Ależ, wielmożny panie dyrektorze — przekładają interesowani — muszą być jakieś księgi, rachunki!

— I księzek nie ma, i rachunków nie ma — brzmi odpowiedź krótka, na której interesowani, radzi nie radzi, poprzestają już — musieli.

Kasa istniała lat z okładem 30, a przez cały ten czas nieledwie (liczba pracujących w zakładach zmniejszała się dopiero do 80-ciu w ostatnich latach kilku) liczyła po 200 uczestników z górą. Jakkolwiek przeto kasa z celem specjalnym, w której, po tylu latach istnienia, przy tak okazałej liczbie uczestników, nie pozostałby żaden zgoła remanent, byłaby w swoim rodzaju prawdziwą osobliwością, to jednakże chcielibyśmy wierzyć na słowo p. Jelinkowi. Kasy, jak powiada p. Jelinek, nie ma i funduszy nie ma. Lecz skoro faktem jest, że kasa dla chorych istniała, to faktem być musi, że istniały jakieś książki kasowe, a w tych książkach były jakieś rachunki, które też, o ile mi się zdaje, należało interesowanym, choćby raz jeden tylko, przy opuszczaniu zakładów przedstawić.

Dotychczas na pytanie to nie ma odpowiedzi, i, jak się zdaje, nie będzie, chyba że uczestnicy kasy wystąpią na drogę sądową, do czego mają prawo i co od razu powinni byli zrobić.

— (x) Z powodu wzmianki naszej o konkurencji *Dziennika dla wszystkich* z *Ziarnem*, p. Noskowski, wydawca pierwszego z tych pism nadesłał nam list, który z powodu, że *Głos* znajdował się już pod prasą — nie mógł być wydrukowany w numerze 29. Uważamy więc za obowiązek dziennikarski zaznaczyć, że p. Noskowski protestuje przeciw oskarżeniu, jakie nań rzuca redaktor *Ziarna* p. Piotrowski, twierdzi, że *Dziennik dla wszystkich* nie używał żadnych niewłaściwych środków współzawodnictwa i że p. Piotrowski, szerzący nieprawdziwe wieści, pociągnięty będzie do odpowiedzialności sądowej za potwarz.

Właściwszym może byłby w danej sprawie jakiś sąd, złożony z literatów i wydawców, któryby określił, czy granice dozwolonego obyczajowo współzawodnictwa zostały przekroczone i czy p. Piotrowski nie zapędził się zbyt daleko, oskarżając wydawcę *Dziennika*. Ale nasze sądy polubowne, zwłaszcza literackie, mają zbyt smutną tradycję, ażeby można było je zalecać, zwykle bowiem obie strony wychodzą z takiego sądu czyste, albo raczej obie trochę przybrukane. Nie dziwnego więc, że człowiek, dbający o swoją opinię, nie chce powierzyć jej wyrokowi sądu polubownego.

— (p.) Przed rokiem, w artykule p. t. „Za kulisami przemysłu” pisaliśmy o różnych nadużyciach, praktykowanych w fabryce wyrobów rogowych, należącej do hr. L. Krasieńskiego a zostającej pod zarządkiem niejakiego p. Surowicza, żyda. Z protestem przeciw temu artykułowi zjawił się w redakcyi jakiś „kontroler guzikarski” w towarzystwie dwóch kantorzystów i zachowywał się tak nieprzyzwoicie, że zmuszeni byliśmy usunąć go za drzwi. W następstwie okazało się, że ów kontroler oszukiwał nie tylko robotników, ale i fabrykę. Przy współdziałaniu niektórych majstrów zapisywał on robotnikom więcej, niż im się należało, a za to przy każdej wypłacie strącał dla siebie procent, wynoszący nieraz więcej, niż owa przewyżka. Sprzykrzyło się to wreszcie robotnikom, odmówili płacenia daniny i przy zatargu, jaki z tego powodu nastąpił, sprawa się wyjaśniła, w rezultacie czego kontroler Zawadzki został usunięty, a wraz z nim kilku robotników, mających udział w tym szwindlu.

Ale nie skończyło się na tem: p. dyrektor zrewidował rachunki za lata ubiegłe, naliczył około 4,000 rs. strat i pokrywa je teraz w ten sposób, że strąca pracującym w guzikarstwie robotnikom po 10 kop. od zarobionego rubla. Spłata taka trwać może lata całe, jest zaś nietylko niesprawiedliwą, ale nieprawą.

Dyrektor p. Surowicz, pobłażliwy dla oszustów, jest natomiast bardzo surowy dla uczciwych robotników, którym dokuca nieraz bez żadnego powodu, chyba dla przyjemności dręczenia ludzi. Tak np. zabronił przynosić do fabryki baniek z kawą, zawiązać z chlebem i t. d., co praktykuje się wszędzie. Robotnik więc od 7 rano, a poprzednio, kiedy dzień roboczy był dłuższy — od 6 do 12 pracować musi o głodzie. A niektórzy, co mieszkają daleko, na Woli lub na Szmulowiznie, i z godzinnej przerwy na obiad skorzystać nie mogą: albo muszą do 6-jej wieczorem głodzić się, albo przepłacać za jedzenie w garkuchniach. Jaki cel ma ten zakaz, trudno nawet zrozumieć, bo w wielu innych fabrykach pozwalają ludziom posilać się i przeznaczają pewien czas na to, gdyż robotnik niegłodny lepiej pracuje.

Z KRAJU.

Nieurodzaj.—Skargi p. Roli w szczególności i skargi szlacheckie wogóle.—Cierpienia wątroby.—Potrzeby cywilizacyjne prawdziwe i urojone.

Trwające prawie bez przerwy przez cały czerwiec deszcze dały się we znaki rolnikom, utrudniły bowiem sprzęt siana a i na zboża niekorzystnie wpłynęły. Tu i owdzie nawet w miejscowościach niskich, na gruntach mokrych, zboża zmarniały, w każdym razie jednak nieurodzaju powszechnego nie będzie. Owszem, w porównaniu np. z Cesarstwem, gdzie wielu gubernijom grozi po prostu głód, plony tegoroczne u nas zapowiadają się wcale znajnie. Ale gdyby nawet gorzej było, niż się zdaje, to nigdy nie może być mowy o powszechnej klęsce. Wprawdzie korespondenci ze wsi utyskują, jak zawsze, lamentów jednak nie zawodzą, z wyjątkiem chyba p. Roli, który z nad ujścia Wieprza tak pisze do *Gazety lubelskiej*:

„Istna kara Boska! Czterdziesty dzień burz, piorunów, gradów i zlewnych deszczów, przedzielnym czterema czy pięcioma dniami wątpliwej pogody i to zwykle w dnie nie robocze. Istny potop! Plaga egipska! Temi słowy, wita jeden drugiego, mieszkaniec wsi. Co to będzie? Co to będzie? — pytają się wzajemnie. 6 lipiec, przeważna część większych i mniejszych rolników ani jednej kłębki koniczyzny i siana nie ma w stodole, a deszcz tymczasem nie pada, ale leje, co kilka godzin. Na nizinach wszystko pod wodą, z łąk potworzyły się jeziora, po których pływają skoszone pokosy siana; zboża, szczególnie żyta, położone, leżą pokotem, kartofle w wielu miejscach pogniły, kapusty pod wodą zniknęły, nędzne tegoroczne rzepakki pochyłone czekają sprzętu. Szkody wszędzie, ziemi rozmokłej nawet doprawić nie można, groble pozrywane, drogi, błota jak w jesieni, jednym słowem co krok obraz rozpaczy. Sprzęt zbóż nadchodzi, a tu ani nadziei na pogodę. No, chwala Bogu, od kilku dni mamy już pogodę, ale kto zareczy, że w krótko p. Roli nie zachce się deszczu.

Stale czytając od lat wielu *Gazetę lubelską*, zwróciłem już dawno uwagę na pesymistyczne zręczenie p. Roli. Nie pamiętam, żeby korespondent ten zwrócił kiedykolwiek uwagę na jakąś jaśniejszą stronę życia, żeby zaznaczył bodaj jeden fakt dodatni. Zawsze zgryziony, nie zadowolony ze wszystkiego, umie skarżyć się tylko; stosunki społeczne, ludzie, natura nastroczają mu jedynie sposobność do utyskiwań. Nie jest to jednak poważny pesymista, który widzi marność wszystkich rzeczy, ale jakiś chory na wątrobę rządca. Myślałem, że musi to być człowiek w życiu nieszczęśliwy, biedak, ustawicznie drżący pod grozą bankructwa. Zacząłem się więc dopytywać, kto to być może i otrzymałem odpowiedź, że jest to człowiek wcale dobrze uposażony w dobra ziemskie, że gospodarstwo nie źle mu idzie, a od ludzi żadnych szczególnych krzywd nie doznał. Człowiek taki mógłby uważać się za szczęśliwego, a jednak wciąż skarży się i gniewa.

P. Rola jest dla mnie typowym okazem naszego szlachecka, który wiecznie skarży się i narzeka. Nie tylko dzisiaj, jest takim, nie, takim samym był szlacheckie przed 30 i przed 300 laty. Wtedy jeszcze, kiedy niczego mu nie brakowało, okrom ptasiego mleka, bo tego tylko specyjału nawet żydki nie mogli dostarczyć, gdyż jak mówił przyjaciel mój Pinkwas Waksman jeden król Salomon znał taki sekret; kiedy królował samowładnie na swojej

wiosce, żadnych podatków nie płacił, i, jak pszczoła miód z kwiatów, wysysał soki i z chłopa, i z mieszczanina i z żyda—wtedy również skarżył się na swe położenie i domagał się natrętnie różnych ulg i przywilejów. Kto ciekawy, niech przejrzy dyjaryjusz sejmów, a przez ciąg kilku wieków znajdzie nieprzerwany szereg skarg i lamentów szlacheckich. Zdaje się, jak gdyby cała ta rasa szlachecka w ciągu stuleci cierpiała dziedzicznie na jakąś chorobę wątrobianą.

Trudno, doprawdy, zrozumieć nieraz: czego potrzeba jakiemuś podżytemu safandule albo młodemu żbikowi. Żyje w zdrowych warunkach, pracą się nie zmęczy, bo nawet kilkugodzinne przejażdżki lub przechadzki służą tylko zdrowiu i wzmacniają apetyt, ma dach nad głową, ma co jeść i w co się odziać, bodaj „po domowemu“, ma wreszcie szersze, niż kto inny pole dla działalności pożytecznej. A jednak albo stęka i wzdycha, albo złości się i burczy.

Nikt nie przeczy, że rolnictwo znajduje się dziś w trudnych warunkach, i że wielu właścicielom ziemskim, jeżeli te warunki się nie poprawią, grozi nieuniknione bankructwo. Na to jednak ani płaczliwe skargi, ani fantastyczne, a nawet chociażby doręczne w pomysł, ale niepodobne do wykonania w danych okolicznościach miejsca i czasu—projekty nie pomogą.

Jeżeli zaś chodzi o pojedyncze wypadki, to jedyną radą, aczkolwiek wydaje się ona oklepaną, może być tylko zalecenie jak największej oszczędności. Dochody nie pokrywają wydatków—trzeba więc zwiększyć dochody, a jeżeli to nie możliwe—trzeba zmniejszyć wydatki. Wiem o tem, że wydatki właścicieli ziemskich uległy znacznej redukcji, ale wiem również, że nie jest to minimum, którego przekroczyć nie można. Jeżeli właściciel folwarku, który wydawał kiedyś 3,000 rs. teraz wydaje 1,500, niech na przyszłość ograniczy się do 500 rubli. Przecie pensja i ordynaryja ekonomia lub nawet taniej rządowej nie więcej wynosi, nie mówiąc już o służbie folwarczej, która położy tej sumy nie dostaje, a żyć musi i ciężko pracować fizycznie. Dla określenia życia nad stan nie ma jakiejś określonej normy; jeżeli koszta utrzymania przekraczają dochód lub zarobek, człowiek nad stan żyje.

Oszczędność ma już pewną granicę, jest nią minimum niezbędnych potrzeb, ale potrzeb zwykłego pracownika, nie zaś uprzywilejowanego obywatela. Mówią nieraz o „potrzebach cywilizacyjnych“, których wyrzec się nie można. Ciekawa rzecz: jakie to u nas „potrzeby cywilizacyjne“ ma t. zw. inteligencyja wiejska lub miejska? Wydatek na pisma i książki, na popieranie instytucji pożytku publicznego—wyjątkowo chyba kilkadziesiąt rubli na rok przynosi, a nieraz kilku rubli nie dochodzi, zresztą od tej rubryki zaczynamy zwykle oszczędności. Ale w tem, żeby lepiej zjeść, lepiej ubrać się, od czasu do czasu przyjmując gości, wyręczać się w pracy domowej służbą, trzymać do córek guwernantkę, ażeby ich ogłupiała francuzczyzną i bębnieniem na fortepianie, łożyć na naukę synów, w nadziei, że będą z nich kandydaci nietylko do sądowych, ale i wszelkich innych posad, palić lepszy tytuń i od czasu do czasu zagrać w karty, chociażby bardzo tanio—w tem wszystkim ani szczypty cywilizacji nie ma. Nie ona na tem nie straci, jeżeli znaczna większość takich potrzeb się wyrzeka.

Właściciel ziemski, odziany w grubą kapotę i jałowicze buty, mieszkający w kilku ubogich ale schludnie umebrowanych izbach, żyjący się tak, jak żywi się dziś zamożny chłop, kształcący dzieci swe praktycznie i stosownie do zawodu, jaki ich czeka, wreszcie czytający więcej, niż dzisiaj—byłby bardziej ucywilizowanym typem, aniżeli ten, co utrzymuje się „na poziomie kultury“ za pożyczane od żydów pieniądze, skarży się na ciężkie czasy i jest właściwie w potrzebach swych i nałogach, w upodobaniach i dążeniach—najzwyczajniejszym chociaż wypolerowanym barbarzyńcą.

Na uwagi takie zwykle odpowiadają zainteresowani: łatwo to moralizować, a jak wy sami żyjecie. Odpowiedzieć mogą tylko za siebie, że pracują chyba więcej, aniżeli każdy zwołały gospodarz i w daleko gorszych dla zdrowia i spokoju warunkach. A zresztą, ponieważ na los swój nigdy się nie skarzę, nikomu nie do tego, co z zarobkiem moim czynię, zawsze zaś gotów jestem przyjąć majątek ziemski, nie dający, zdaniem jego właściciela, żadnego dochodu i płacić mu nawet za to pewną rentę, hyle tylko długi wartości owego majątku nie przewyższały.

J. Nieborski.

P. S. W 24 numerze *Głosu* w rubryce „Z kraju“ pomieszczona była wzmianka o reklamowaniu przez d-ra K. Rosenthala mieszkań letnich w Inowłodzu. Widocznie, że artykuł wywierał takie wrażenie, przysłano nam bowiem poprzednio numer *Dziennika Wódzkiego*, zakreślony w odpowiednich miejscach. Nie twierdziłem jednak wcale, że dr. R. niesłusznie chwali te mieszkania, które, jak świadczy zakomunikowana redakcyi opinia całego grona znanych lekarzy, znajdują się w nader korzystnych warunkach higienicznych, chciałem tylko podkreślić niewłaściwość postępowania autora, który w piśmie, przeznaczonem dla traktowania interesów publicznych, popiera przedsiębiorstwo, być może nawet pożyteczne, ale prywatne. Zaznaczyłem również, że ta niewłaściwość czy niegłębokość może nasuwać mimowoli różne podejrzenia. Z udzielonych mi informacji przekonałem się, że dr. Rosenthal, cieszy się dobrą opinią i nie dawno dopiero osiadł w Tomaszowie, nie ma więc i mieć nie może żadnych widoków w popieraniu mieszkań w Inowłodzu, o co, zresztą, wcale go nie oskarżałem a jedynie podkreśliłem, że się niepotrzebnie na takie podejrzenie naraża.

Co więcej, okazuje się że Inowłódz w wielu względach uważany być dziś może jako zakład leczniczy, w takim zaś razie dr. Rosenthal miał poniekąd prawo zalecania go publicznie. Utrzymuję jednak, że chociażby działał z najlepszych pobudek, przekroczył nieco właściwą miarę i tem dał powód do uwag dla osoby jego i artykułu niekorzystnych, a jak się okazuje, niesłusznych.

Korespondencyja „Głosu“.

Mińsk Lit.

Sprzedaż za długi. — Kredyt lichwiarski a publiczny. — Stowarzyszenia pożyczkowo-wkładowe w Nowogródki i Klecku.

Przed paru miesiącami donosiłem wam o wystawieniu przez bank moskiewski kilkudziesięciu majątków na licytację. Obecnie mogę dodać, iż temu losowi uległo 44 majątków w gub. Mińskiej, o ogólnem obszarze stu tysięcy dzies. z górą, wystawionych na sprzedaż przez bank Wileński; oprócz tego niektóre kasy powiatowe zagroziły subhastą 136 właścicielom ziemskim za niewypłacenie należnych kasom dwudziestu kilku tysięcy rubli podatków.

Ścisłe biorąc, groźne te pioruny, skierowane w stronę „Grajpalów“ i „Dziurkowszczyzn“, w większej części wypadków spełzną na niczem, większość bowiem ziemian, jak unie poinformowano, wyczeka cierpliwie ogłoszeń banków o przymusowej sprzedaży i wtedy dopiero płaci raty, chociażby nawet z nawiązką. Jedni tak czynią, bo zanim załatwią się przedwstępne formalności licytacyjne, oni tymczasem zyskują na czasie, który jest dla nich niezbędny do zebrania potrzebnej sumy; inni zaś postępują w powyższy sposób przez wrodzone niedbalstwo. Tym sposobem w dniu sprzedaży z wielkiej chmury zazwyczaj mały deszcz spada.

Ale w omawianej tu sprawie jest inna strona o wiele ciekawsza, powiedziałbym, smutniejsza, mianowicie sprzedaż przymusowa gruntów drobnych i ruchomości, o której ogłaszają zwykle wóźni sądowi lub urzędy gubernialne. Jeżeli bowiem ogłoszenia o sprzedaży własności większej zdarzają się stosunkowo rzadko, a jeszcze rzadziej przychodzi do skutku sama sprzedaż (na co składa się jeszcze parę innych przyczyn), to licytacja ruchomości jest u nas stałym zjawiskiem. Przez ciekawość cały niemal kwartał zbierałem dane w tej materii i doszedłem do ciekawych wcale rezultatów. Naprzykład ogólna suma długów, za które ten drobiazg majątkowy został na sprzedaż wystawiony, wynosi w owym kwartale 151,000-rs. (drobniejsze cyfry opuszczam), przy czem powiat miński dzierży palmę pierwszeństwa (przeszło 125 tysięcy). Jakaż to więc musi być cyfra zobowiązań niedotrzymanych, w ciągu całego roku? Z całej tej sumy długu, tylko mała część (około 8,000) należy się rozmaitym instytucjom państwowym.

Co do dłużników, to tych w gruncie w danym okresie jest niewiele, ale za to ich ugrupowanie jest ciekawe. Jest to właściwie mozaika, gdzie i żyd winien chrześcianinowi i chrześcianin żydowi; czasami wierzyciel należy do tej samej religii i narodowości co i dłużnik, słowem wszyscy podlegają jednakiem prawom dzisiejszego życia. Wszakże

z mozaiki tej możemy wyciągnąć parę cech bardziej charakterystycznych. Przyszyczejani jesteście my sądzić, iż między dłużnikami najwięcej bywa chrześcian, tymczasem w danym wypadku okazuje się, że na 69 osób i grup, 35 stanowią żydzi. Oryginalne te zjawisko tłumaczy się *rodzajem* długów; podczas gdy chrześcianie omal że wyłącznie tracą swe mienie za długi procentowe, większość żydów podlega temuż losowi z powodu kar za niewypłacenie wojskowej powinności. Następnie wśród wierzycieli prywatnych ogromną ilość znalazłem chrześcian, tak, że, na pierwszy rzut oka, wydaje się, jakbyśmy mieli tyleż jeżeli nie więcej, lichwiarzy rodaków, co i żydów (mówię „lichwiarzy“, bo w gruncie wszystkie niemal długi prywatne są lichwiarskie). Nie mam bynajmniej zamiaru apoteozować naszych lichwiarzy, sądzę jednak, że ich jest nierównie mniej, niż się to z ogłoszeń o licytacji wydaje, i te pozorne zbliżenie ilościowe należy wytłumaczyć prosto tem, że chrześcianie w takich razach są bardziej krewcy i bardziej się niecierpliwiają, kiedy żydzi, jak wiadomo, umieją upajać się tym procederem długie lata, ostrożnie i powoli, jak smakosz, wysączający słomką szklaną maza-granu.

Jak to już powiedziałem, sprzedaż przymusowa ruchomości i drobnych obszarów gruntowych jest u nas zjawiskiem stałym, chorobą chroniczną, podczas gdy subhastę właścicieli większych, w przeciwstawieniu, możnaby nazwać tejże choroby przebiegiem ostrym, z tym wszakże dodatkiem, że kiedy niedomagania własności większej usuwane są zazwyczaj z pomyslnym mniej więcej skutkiem, to pierwszy rodzaj choroby, trafiając na bardziej podatny grunt, zwiększa ilość proletaryjatu i inne pociąga następstwa. Nie przeczę, że i tu nie każda ogłoszona sprzedaż przychodzi do skutku, są to jednak wyjątki, a za to każdy niemal cios dosięgający jest śmiertelnym.

Ogłoszeń o sprzedaży gruntów drobnych (płaców mieszczkańskich i gruntów włościańskich) naliczyłem 17 wypadków, ale na tem nie koniec; w słuckim powiecie naprz. wystawione były na sprzedaż konie i bydło w *całej* wiosce Kułaki za dług 424 rs. kop. 72 księciu Radziwiłłowi; w innych miejscowościach sprzedawano krescencyję i t. p.

Wielka to szkoda; w większej ilości wypadków są to ludzie pracy, należałoby zatem zapobiedz szerzeniu się tej zarazy bankructwa. Obywatelstwo ma swoje banki i stowarzyszenia, które nie w ten, to w inny sposób biedzie zaradzają, dla czegożby nie obmyśleć coś podobnego i dla tych. Zapewne, że najtrwalszą jest ta pomoc, którą człowiek sam sobie poda, ale u nas, gdzie umysł ludu jest jeszcze w niemowlęctwie prawie, inicjatywa, jak i wynalezienie środków zaradczych winny wychodzić od inteligencji.

Zgrzeszyłbym jednak ciężko, gdybym twierdził, że nie mamy jednostek chętnych i czynnych w kierunku polepszenia doli ludu. To też pośpieszam dodać, że w omawianej sprawie pomocy materialnej posiadamy nawet stowarzyszenia stosowne. Tak np. w Klecku, w słuckim pow. i w Nowogródki od lat paru istnieją pod nazwą „pożyczkowo-oszczędnościowych stowarzyszeń“. Sam tytuł niewiele właściwie tłumaczy; pozwolicie zatem, iż przytoczę parę szczegółów o tych stowarzyszeniach.

Stowarzyszenie nowogródzkie rozpoczęło swe istnienie w roku 1887; działalność jego rozciąga się na cały powiat, czyli mniej więcej na 230,000 mieszkańców. Według ostatniego sprawozdania, w dniu 1 Stycznia roku b. stowarzyszenie liczyło 742 członków (w tymże czasie 1890 r. było 588), z których przeszło *sześciuset* należy do włościan; ci przeważnie korzystają z pożyczek. Wysokość udzielanych chłopom pożyczek waha się między 46 — 100 rublami, są jednak i tacy (przeszło 60, czyli $\frac{1}{10}$ członków—włościan), którym stowarzyszenie wydało maksymalną zapomogę, t. j. 300 rubli, na kupno ziemi. Pierwsze trzy lata za otrzymane pożyczki płacono po 10%, następnie w r. 1891 na ogólnem zebraniu członków postanowiono stopę procentową obniżyć do 9%, co jest tylko jednym dowodem więcej pomyślnych operacji stowarzyszenia. Te 9% okaże się jeszcze niższem, jeżeli przypomnimy, że każdy z dłużników jest jednocześnie członkiem stowarzyszenia, otrzymującym za swój udział pewien procent; w roku 1890 nap. otrzymali oni 7% dywidendy, czyli że za dług zapłacono ogółem tylko 3%.

Dodatnim rysem tej instytucji jest brak zwykłego u nas biuralizmu; gdy chłop podaje prośbę o pożyczkę, jeden z delegatów Rady stwierdza osobiście potrzeby petenta i na tej samej prośbie daje

swe przyzwolenie lub veto, i po całej formalności. Następnie muszę zanotować ten ciekawy szczegół, iż wśród dłużników, których stowarzyszenie musiało pociągnąć do sądowej rozprawy, nie było ani jednego właściciela. Ogólny stan finansowy stowarzyszenia za rok sprawozdawczy (1890) jest następujący. Kapitał udziałowy wynosi 18,335 rs. przy czem 198 członków wniosło udziały całkowite (50 rublowe), zaś 544 posiada tylko cząstkowe. Depozytów stowarzyszenie ma na sumę 6773 rubli, długi rozmaitym instytucjom i osobom 14400 rubli; w obu wypadkach stowarzyszenie płaciło po 6%. Pożyczek wydano na sumę 74,998 rs.

Klekkie stowarzyszenie w dniu 1 stycznia r. b. miało: udziałów na sumę 17,786 rs., depozytów 36,913 rubli i wydanych pożyczek na sumę 45,207 rubli. W pierwszym więc, jak widziwy, operują głównie pożyczkami, gdy w drugim depozytami, które, nawiasem mówiąc, mogą być kopiejkowymi. Ta okoliczność, jak słyszałem, nasunęła niektórym członkom tych stowarzyszeń myśl, czyby nie można było obie te kasy połączyć w jedną.

Takie stowarzyszenia, gdyby ich było więcej, przyczyniły by się niechybnie do zmniejszenia wpływu lichwiarstwa.

Dodać winienem, że członkowie zarządu nowogrodzkiego stowarzyszenia działają całkiem bezinteresownie pod względem materialnym. Cały zarząd dzieli się na radę i zarząd właściwy; w roku b. prezesem jest p. Karpowicz, członkami Rady: Brzozowski, Wierzbowski, hr. Turke i Saburow, zaś do zarządu należą: pp. Kiersnowski, Guzeli i Narkiewicz-Jodko, który, jeżeli się nie mylę, jest moralnym założycielem tej instytucji.

K. P. Rewera.

Przegląd społeczny.

Łódź. Jeśli wierzyć krążącym po mieście pogłoskom, to przemysł łódzki przechodzi obecnie wielce krytyczną chwilę. Przyczyn przesilenia szukać głównie należy w niepewności rynków w Cesarstwie, spowodowanej już to tłumną emigracją ludności żydowskiej, już to wielce niepomyślnymi widokami żniw tegorocznych, od których w znacznej mierze zależne są prawidłowość i ożywienie cyrkulacji przemysłowej w Łodzi. Obecnie kilka upadłości handlowych w Rostowie i Berdyczowie na ogólną sumę około pół miliona rubli, w których przeważnie zaangażowane są firmy przemysłowe łódzkie, w połączeniu z wymienionymi przyczynami, wytwarzają w sferze transakcyj kredytowych pewną panikę i niedowierzanie. Nieodstępni satelici tego krytycznego stanu interesów nieomieszkalili zjawić się już w komplecie, zmanifestowawszy przybycie swoje czterema bankructwami w Łodzi na ogólną sumę około 200,000 rubli. Ile zaś oiar naliczy wrzesień, gdy, po ukończeniu zakupów sezonowych, nadejdzie czas regulowania zobowiązań—trudno przewidzieć. To pewne tylko, iż obecnie wszystkie nadzieje i rachuby przemysłowców naszych spoczywają na zbliżającym się sierpniowym jarmarku w Niżnym Nowogrodzie, który, z przyczyn wzmiankowanych, nie zapowiada się bardzo pomyślnie. Dotkliwiej niż fabrykanci, którzy z łaźni upadłościowej wychodzą często finansowo oczyszczeni i odmłodzeni, odczuwa skutki obecnego przesilenia klasa robotnicza, wyrzucana już teraz tłumnie na bruk uliczny i przywierająca z rodzinami głodem w bezowocnej pogoni za pracą, której otrzymanie przybiera coraz więcej formę niedoścignionego szczęścia. Statystyki tego rodzaju nikt tutaj nie prowadzi, a wogóle tragiczną tą wędrownką z fabryki na bruk uliczny, mało kto się interesuje; oznaczy więc w chwili obecnej cyfry wydażeń nie można. Według „Dziennika“ z fabryki p. Rathego wydano 20 tkaczy, z fabryki Wulfsohna — 70. Prócz tego z fabryki G. Goldnera, wskutek zaprzestania robót nocnych, wydano 50 z górą robotników, a dochodziły mnie wieści, iż nielepiej dzieje się w manufakturze bawełnianej L. Geyera, z kąd co tydzień wydają podobno po kilkunastu przedarzy. Jak łatwo się domyśleć, z powodu obecnego przesilenia dotkliwszej klęski o wiele doznał tutejszy przemysł drobny, tworzący zawsze w chwilach krytycznych awangardę, poświęconą na stracenie. W ostatnich tygodniach wskutek braku zamówień zawiesiło roboty: około 60 drobnych zakładów tkackich, kilkanaście warsztatów półczosnych, 20 zakładów wyrabiających szpulki i członka tkackie, kilka mniejszych wykończalni i farbierni, kilkadziesiąt szwalni i mniejszych i większych, kilkanaście zakładów stolarskich i ślusarskich, 2 tokarskie, fabryka gontów i wiele innych,

a w pozostałych i funkcjonujących tylko z wysiłkiem płacę czeladnikom zredukowano prawie do połowy.— Na skutek starań grona lekarzy tutejszych departament medyczny zezwolił na otwarcie w mieście naszym pierwszej taniej lecznicy prywatnej, na wzór istniejących w Warszawie. — Towarzystwo akcyjne fabryki Jzr. K. Poznańskiego rozpoczęło budowę obszernej blacharni i drukarni, a p. W. Prieser budowę nowej fabryki parowej szpulek tkackich. — Podobno grono osób wpływowych rozpoczęło starania u władz o uzyskanie pozwolenia na stałą straż ogniową miejską. Wiadomość powyższą witać należy z wielkim zadowoleniem, istniejąca bowiem straż ochotnicza, rekrutująca się przeważnie z ludności robotniczej, wskutek znużenia całodzienną pracą leniwie i późno pospieszającej na alarm—nie może, pomimo wielkich swych zalet, zaspokoić potrzeb naszego miasta, w którym w pewnych porach roku pożary większych rozmiarów bywają cotygodniowem niemal widowiskiem.

Izar.

Sielec, pod Sosnowicami. (Kor. „Głosu“). Posiadłości tow. udziałowego hr. Renarda składają: dobra rolne Sielec z młynem parowym, browarem, piekarniami, sklepami spożywczymi, oraz kopalnie Fanny—Ludwik (Sielec), Joanna Fryderyka (Dębowa-Góra i Andrzej (Strzyżowice).—Energija i przedsiębiorczość zarządu, skierowana do podniesienia produkcji, nie zapomina i o udogodnieniach dla klasy pracującej. Domy mieszkalne robotnicze, łatwość w nabywaniu chleba na kopalni, wreszcie dwa sklepy, wyłącznie dla ludności pracującej urządzone, wszystko to, jak się zdaje, obmyślono przeciw siłom drobnych pośredników i lichwiarzy, czyhających na niedolę ludzką. A więc zarząd jest feniksem wśród dzisiejszych wampirów. Tak sądzi ogół, tak sądzą ci, co gruntownie stanu rzeczy nie badają. Rzeczywisty obraz stosunków w Sielcu jest następujący. Tak zwane domy mieszkalne są raczej barakami, często skleconymi naprędce, które od włożonego kapitału przynoszą stowarzyszonemu dochód nie do pogardzenia. Z ogromnej ilości pracujących górników zaledwie mała część ma mieszkania. Inni wędrują milę i więcej do swych rodzinnych wsi, aby nazajutrz, przed świtem odbyć tę samą przestrzeń z powrotem. Ta marszruta przedłuża dzień ich roboty do 15 godzin i więcej. Szczęśliwsi lokują się u najszcześliwszych, t. j. w izdebkach, oddawanych potrzebującym za małe wynagrodzenie. Tym sposobem tak zw. mieszkania robotnicze są izbami noclegu, w guście londyńskich. Zaduch, wilgoć, brud—to wszystko nic, póki epidemija nie nawiedzi tych siedzib ludzkich. Do tego jeszcze dołączają się wszystkie niewygody życia koszarowego. Wydawanie chleba na kopalni ma pozór filantropii. Jestto jednak filantropija gospoi, tuczającej świnię, aby ją później zarznąć. Zwyczaj to nienowy w dąbrowskich, zagórskich i innych kopalniach. Chleb jest to artykuł zyskowny, tam, gdzie istnieją tysiące spożywców, potrzebujących go dzień po dniu w ogromnych ilościach. Niechby codziennie zyskiwano grosz na spożywcę, to już zarabiano by na tem dziesiątki rubli dziennie. Zrozumieli tę matematykę dawniej sukcesorowie G. v. Kramsty i wpędzili do swej kasy kilkanaście tysięcy rs., dopóki ich nie zdemaskowano. Zarząd w Sielcu teraz zadawalnia się bardzo skromnym zarobkiem, bo jedną kopiejką na 8-miu funtach, nie licząc, naturalnie, zysków z młyna i piekarni. Dochodzik z chleba zaochręgała się dochodzikiem ze sklepów. Pracuje się, jak można! Kontrakt niedawno zawarty z przedsiębiorstwem Hultschinsky et Comp. zapewnił zarządowi zbyt chleba dla pracowników p. H. et Comp. Gdzieindziej, w Niemczech (warsz. tow. gór.) widziwy, że chleb jest w kopalni tańszy, niż na rynku. To quasi dobrodziejstwo polega na tem, że górnik, z powodu trudności opuszczenia się do kopalni i podnoszenia na wierzch, pozostaje w podziemiu 12 — 24 godzin. Częste wychodzenie dla posiłku osłabia intensywność pracy, skracca dzień roboty, a więc i zysk przedsiębiorcy. Górnik, biorąc na kredyt chleb i mając go przy sobie, niema już prawa opuszczać warsztatu pracy dla fizjologicznych potrzeb, jest tym sposobem przykuty i praca jego produktywniejsza. Tak tylko da się wytłumaczyć filantropija warszawskiego towarzystwa górniczego lub tow. francuzko-włoskiego, dzisiejszego sosnowickiego i t. d. Są tu zresztą inne metody karmienia kaczki, przeznaczonej na spożycie: udzielanie forszusu na chleb i inne towary spożywcze. Ale to przeciążyłoby dzisiejszą moją korespondencyję, zastrzegam więc sobie napóźniej głos w tej kwestyi. W ostatnich czasach na kwestyję chleba zwróciła uwagę prokuratorja. Sądzić należy, że i inna, nie mniej ważna kwestyja, poruszona przez prokuratora, będzie sprawiedliwie rozstrzygnięta. Zakorzenił się mianowicie od niedawna system eksploataowania siły

robotycznej, przechodzący inne dotąd znane. Na zasadzie doświadczenia wywnioskowano, że maximum produkcji pojedynczego górnika wynosi 12 wózków dziennie. To maximum przyjęto za normę i mniejszą wydajność np. 7 lub 9 uważają za połowę (pod względem płacy), t. j. za 6. Tym sposobem z 12 godzinnego dnia górnik boi się stracić choćby chwilkę, aby nie wpaść w deficyt i nie stracić zapracowanego; pracuje więc z podwójną energiją. U hr. Renarda interes ten prowadzony był prymitywniej, tam po prostu obcinano wagę wózka. Oto są dobrodziejstwa energicznego i przedsiębiorczego zarządu. Cieszymy się, że dzięki tej gospodarce przedsiębiorstwo nie upada, lecz, jak dotąd, tak i nadal będzie rosło i kwitło, dając byt i pomnażając dobrobyt (?) tysiącom ludzi, szukających pracy. *Spostrzegacz.*

Dąbrowa górnicza. Maszyniści stacy Sosnowice, jak donosi *Tydzien*, wystąpili ze zbiorowem podaniem do prezesa Rady zarządzającej o podwyższenie pensji z powodu drożyzny, jaka obecnie w Sosnowicach panuje. Rada uznała dotychczasową pensyję za wystarczającą, a za ominięcie swego naczelnika i dyrekeji, jako pierwszej władzy, wymierzyła na maszynistów karę w kwocie rs. 73. Kara taka, jak kolej wiedeńska istnieje, nie była jeszcze nigdy stosowaną.

Z CESARSTWA.

Wilno. (Kor. „Głosu“) Emigracja żydów do Ameryki przed rokiem znacznie się zmniejszyła. Już to dla tego, że emigrantom coraz to gorzej powodziło się na obczyźnie, już to znowu z tego powodu, że z miejsca się ruszać nie było wielkiej racy. Jest tu kilku agentów—żydów, trudniących się ułatwieniem przejścia granicy, oraz sprzedawaniem emigrantom biletów różnych kompanij aż do kresu ich podróży. Największą jednak wziętością cieszą się agenci wielkiego towarzystwa akcyjnego w Hamburgu p. t. „Hamburg-Amerikanische Lacketfahrt“. Pobierają oni oprócz stałej pensji procenty od sprzedawanych biletów i nie tylko wśród żydów rozwijają swoją działalność, lecz również dzielnie agitują wśród chrześcijan, należących przeważnie do klasy biednych rzemieślników. Zmniejszenie się ruchu emigracyjnego podkopało nieco interesy agentów, cieszyli się oni jednak nadzieją, że taki zastój nie długo potrwa. Otóż tak się stało w rzeczywistości. Obostrzenia względem żydów, obietnice patronów kwestyi żydowskiej Hirschów, Rotszyldów i innych wywołały ogromną gorączkę emigracyjną. Co dzień kilka rodzin żydowskich odjeżdża do Ameryki południowej, północnej lub do Palestyny. Przed rokiem jeszcze, gdy jaka rodzina zdecydowała się emigrować, wysyłano nasamprzód ojca jej, który po kilku miesięcznym wobyćcie wzywał żonę z dziećmi, dzisiaj zaś jadą żydzi na oślep całymi rodzinami, to też dworzec kolei żelaznej, przepełniony bywa w południe przeważnie emigrującymi żydami. — Naszą policyja zwróciła uwagę na okropny stan składów z produktami spożywczymi. Otóż na czele z miejskim doktorem p. Janowskim zwiędziła ona taki skład Lessera, położony na ulicy Rudnickiej we własnym domu i znalazła go w okropnym stanie. Na brudnej podłodze leżało mnóstwo sadła bez żadnego przykrycia, a pod kapustą okazała się nieużywana już oddawna studnia, do której zlewano wszelkie brudy. Dodamy jeszcze, że właściciel owego składu dostarczał produkty do szpitala wzięcia miejskiego, oraz do ufmskiego pułku piechoty. Skład ów opieczętowany, Lessera zaś pociągnięto do odpowiedzialności. Tak samo wzbroniono sprzedawać mięso i inne produkty właścicielom sklepów, położonych obok łaźni Fina na Zarzeczcu, z powodu że wyziewy z łaźni, zatrzymujące powietrze, przyczyniają się do zaszczepiania w mięsie rozmaitych bakteryj. Otóż właściciele wspomnianych sklepów podali oryginalną prośbę do urzędu lekarskiego o pozwolenie im nadal sprzedaży mięsa na tem samem miejscu, gdyż sklepy ich położone są obok łaźni dla kobiet, a nie dla mężczyzn, jak to zaznaczyli członkowie komisji sanitarnej. Przysłowie małoruskie „nie ródź się pięknym, lecz szczęśliwym“ można zastosować do losu, jaki spotkał zabawę, urządzoną tutaj w sobotę w dniu 29 czerwca w ogrodzie pobernadyńskim na korzyść włościan gubernii wileńskiej, którzy wiele straty ponieśli od gradobicia. Nasze panie, które energicznie sprzedawały kwiaty w butonierkach, oraz chłodzące napoje na zabawie na korzyść pogorzalców m. Radoszkowicz, pożałowały tym razem swej fatygi dla biednych włościan. Oprócz tego przypadające w ten dzień doroczne święto Piotra i Pawła zważyło publiczność na kiermasz, urządzony pod kościołem św. Piotra na Antokolu, to też dochód z zabawy musiał być znacznie mniejszy. Urodzaje w tym roku, jak donoszą „Wileńskie gubern. wiadom.“ są niezłe na ogół, z wyjątkiem powiatu dzi-

śnieńskiego. Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych, na mocy przedstawienia władzy administracyjnej wysłany został z gubernii wileńskiej na 2 lata znany lichwiarz-żyd Trepel. W roku bieżącym drugie to wysłanie lichwiarza. J. S.

Białystok. (Kor. „Głosu.”) *Wileński wiestnik* podaje ciekawą opowieść Mikołaja Kowalczyka, badawczego w policji w Białymstoku, po powrocie z Brazylii. Chcąc emigrować do Brazylii, zabrał swoją rodzinę i udał się do Warszawy, z kądem wraz z innymi przeszedł pruską granicę do pewnego miasta, gdzie na nich czekało kilku agentów żydów i Niemców, którzy napadli na nich jak „wilcy na mięso.” Z tamąd wysłano ich do Bremenu, z kądem na parowcu udali się do Rio-de-Janeiro; było ich 150 osób. Gdy stanęli na miejscu, dano im nocleg w tak zwanym domu dla emigrantów, który do chlewa raczej był podobny; dorosli i dzieci, bez różnicy płci, zmuszeni byli spać na gołej ziemi, jak bydło. Niektórzy, dowiedziawszy się, że Brazylija nie jest tak bogatym krajem, jak o niej głośzono, nie chcieli dalej jechać, wówczas agenci wraz z miejscową policją zaczęli bić ich kijami i nabajkami, nieoszczędzając dzieci i kobiet, niektórych nawet zabijali na śmierć (?) tak, że w ciągu dnia jednego zmarło 28 osób. Stawiających silny opór wysłano na prowincję i tam kazano wykonywać najtrudniejsze roboty prawie bez wypoczynku, płacąc za to po 75 k. i po rublu dziennie. Zarobek niewystarcza im na wyżywienie siebie i rodziny, gdyż produkty strasznie są drogie. Więc też umierało wielu emigrantów z nędzy oraz z złotej febrzy. Zmarłych nie grzebano według zwyczaju chrześcijan, lecz palono w osobnych piecach. Klimat Brazylii jest zabójczy dla Europejczyków; grunt kamienisty, nienadający się do rolnictwa. Tak cierpiał Kowalczyk 4 1/2 miesięcy, potem uciekł wraz z rodziną do kraju. „Na tamym świecie chyba niema takich męczarni.” kończy biedak „jakie cierpieć muszą emigranci w Brazylii. Nieszczęśliwi, niemający przytułku, tułają się po lasach, urządzają namioty na drzewach, lecz i tam ich ściga zwierzę dziki i nieraz śpiących pożera.” Ab.

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu.”) Korespondent wasz specjalny poinformuje zapewne czytelników „Głosu” o znaczeniu i ważniejszych referatach VI zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, który wczoraj ukończył swe obrady. Mnie nie pozostaje zatem nic innego, jak tylko dotknąć spraw ostatniego wieczu w najogólniejszych zarysach. Przedewszystkiem wypada nadmienić, że honorowymi prezesami zjazdu obrano prof. Baranowskiego z Warszawy, d-ra Adryjana Baranieckiego, dyrektora wyższych kursów kobiecych i twórcę podobnych u nas zebrań, b. prezesa akademii Majera oraz delegata czeskiej akademii profesora Reymana. Rzeczywistymi prezesami obrani zostali: dr. Sokółowski z Warszawy i prof. Laskowski z Genewy, wiceprezesami: dr. Mases (czech) dr. Świącicki z Poznania, protomedyk Merunowicz i Dickstein, sekretarzami wreszcie: doktorowie Puzyna i Natanson. Na drugim posiedzeniu uchwalono godną uznania rezolucję dopuszczenia kobiet na kursy filozoficzne.

W kołach lekarskich wywołał dość silne wrażenie wybór p. Ochorowicza (któremu odrzucono referat) przewodniczącym sekcji psychologicznej, w której przemawiał p. Mahrburg „o psychologii i jej stanowisku w systemie nauk” z innych prac sekcyjnych uważam za konieczne podnieść przyjęty projekt Dicksteina utworzenia muzeum wynalazków polskich oraz inż. Syroczyńskiego w sprawie założenia w 74 miastach powiatowych Galicji mineralogiczno-geologicznych zbiorów kopalni i skał oraz zdjęć z istniejących kopalni ropy i przekrojów poprzecznych. P. Dickstein uczynił również wniosek wydawnictwa bibliografii z działy matematyki i fizyki i biblioteki nauk matematycznych. — Cała zewnętrzna ta tak powiem festynowo-objadowa strona zjazdu wypadła jaknajgorzej. Przyjęcie uczestników zjazdu przez gminę miasta w sali strzeleckiej było skandaliczne pod każdym względem. Prezydent Szlachetowski, zajęty sprawą obecnie targowicy dla bydła, zapomniał widocznie o względach należnych stróżom zdrowia ludzkiego, bo tak jedzenie, jak i sposób recepcji nie wytrzymałyby krytyki nawet w Mościskach. Wycieczka w okolice Krakowa (do Mnikowa) wypadła podobno lepiej. Wczoraj wyjechało 30 uczestników kongresu do Pragi, reszta wróciła do domów lub przyjęła udział w wycieczce do zdrojowisk krajowych. Następny, VII zjazd odbędzie się za trzy lata w Poznaniu. Sprawa gwałtów, popełnionych przez węgry u Morskiego Oka, nie przestaje być głośną. Sąd nowotarski skazał już butnego ks. Hohenlohe na grzywny w kwocie 1000 złr. i usunięcie domu, zbudowanego na spornej

parceli pod zagrożeniem użycia siły zbrojnej. Jednocześnie donoszą, że minister węgierski polecił telegraficznie wiceżupanowi komitetu scepseńskiego wydać rozkaz węgierskiej żandarmerji oraz zarządowi dóbr Hohenlohego, aby otworzono drogę, prowadzącą przez sporne terytorjum i nie tamowano gościom kąpielowym ze strony galicyjskiej wolnego przejścia. — Dla dosadniejszego jeszcze scharakteryzowania bezprawia węgry należy się wyjaśnienie, iż w r. 1893 komisje, delegowane z obu stron stwierdziły, iż granica ciągnie się najwyższymi szczytami Tatr ponad Morskiem Okiem i Czarnym stawem, tak, że oba te jeziora należą do obszaru starostwa nowotarskiego a więc do Galicji. — Minister sprawiedliwości hrabia Schonborn zarządził od wszystkich prezesów sądów austriackich wykazu długów urzędników sądowych, t. j., o ile zajęte są tychże płace i ile zaliczek pobrali na bieżące należności. Z wykazu tego, rzucającego smutne światło na nasze stosunki, dowiadujemy się naprzykład że jeden z adjunktów powiatowych, pobierający 1200 złr. pensji, ma długów... 14,000 (sic!). Pamiętać trzeba, że nasi urzędnicy sądowi zmuszeni są przez kilka lat odbywać praktykę *honorową*, przez który to okres karmią ich... lichwiarze; usunięcie tej anomalii -- to jedyna reforma.

Vox.

P. S. Odznaczenia lub medale na wystawie podczas zjazdu otrzymali pomiędzy innymi: d-r Bujwid, „Biblioteka matematyczno-fizyczna”, *Gazeta lekarska, Zdrowie, Księgarnia tanich wydawnictw, Medycyna, Wszechświat, Kronika lekarska, i t. d.* Jedyny złoty medal otrzymał Adryan Baraniecki.

L w ó w. (Kor. „Głosu.”) XXV zjazd członków gal. towarzystwa pedagogicznego odbył się w ubiegłym tygodniu w Drohobyczu. Prezesem towarzystwa wybrano p. Z Sawczyńskiego, wiceprezesem zaś d-ra Teofila Gertsmana. Na zjeździe podniesiono wadliwość krajowej ustawy szkolnej i uchwalono w tym kierunku przedstawić projekt reformy. Większe zainteresowanie obudził również między uczestnikami odczyt p. Tomasza Dzieduszyckiego, który podniósł korzyści materialne i moralne, jakie wyniknąć powinny z zakładania pasiek i sadów. Następny zjazd odbędzie się za rok w Brodach. Nie od rzeczy będzie nadmienić, że tow. pedagogiczne w Galicji liczy obecnie przeszło 2,000 członków i rozporządza kapitałem kilkudziesięciotysięcznym. Staraniem tej instytucji powstało w kraju 126 kółek pedagogicznych. — We Lwowie zmarł b. poseł Tytus Kielanowski. Lambda.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Ciszę wakacyjną w polityce zakłóciły niespodziewanie rozprawy w izbie francuskiej. Znany bulanzysta Laur wniósł interpelację, w której twierdził, że ambasada niemiecka, wbrew traktatowi francuzkiemu, odmawia wiz na paszportach komisantom francuzkim, jadącym do Alzacji i Lotaryngii. Pomimo że ministerjum żądało odroczenia rozpraw, izba uchwaliła nagłość 286 głosami przeciwko 203. Rząd, przestraszony, że rozprawy mogą dać powód do poważnych zakłóceń międzynarodowych i nie chcąc podawać się do dymisy, ponownie zażądał odroczenia, na co większość posłów, zjednana różnymi sposobami w ciągu doby, zgodziła się wbrew pierwszej uchwale. Okazało się jednak, że Laur miał słusność, rząd niemiecki odmawia wiz wszystkim francuzom, których uważa za politycznie podejrzanych a ma dobre informacje, bo jak gazety niemieckie przyznają się, ambasada posiada listy francuzów, należących do tajnych związków patryjotycznych. Odkrycia te wywołały wielkie wrażenie i opinia publiczna za złe ma rządowi, że zbyt lekko i delikatnie traktuje sprawę. Zresztą odroczenie rozpraw nie na wiele się przydało, bo izba odmówiła znowu kredytu, żądanego przez prezesa gabinetu i ministra wojny — Freycineta. Ten ostatni oświadczył, że czuje się osobiście dotkniętym uchwałą, a z uwagi na poprzednie głosowania nad wnioskiem Laur, które zachwiały stanowiskiem rządu, nie może zamknąć sesji parlamentu, gdyż gabinet nie posiada zaufania aby sprawować rządu w czasie wakacji i musi podać się do dymisy.

Eskadrę francuzką, którą owacyjnie witano w Kopenhadze i Sztokholmie czeka uroczyste przyjęcie w Kronsztadzie. Wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, w przyjęciu tem brać będzie szeroki udział publiczność. Jednocześnie *Nord*, zagraniczny organ dyplomacji ruskiej, zamieścił artykuł, w którym dowodzi, że dotychczas nie trzeba było formalnego przymierza

między Rosją i Francją, obecnie jednak, kiedy Włochy odnowiły umowę a Anglia toczy układy, byłoby nierozważnym trzymanie się polityki „wolnych rąk”. Formalny sojusz francuzko-ruski ważny jest z tego jeszcze względu, że łatwiej przyciągnąć może państwa drugorzędne, które usiłują dziś wciągnąć w sferę trój-przymierza.

Młodo-czesi nie przyjmują udziału w delegacjach austriackich, żądali bowiem 4 mand., z liczby 10 posłów jakich wybierają przedstawiciele Czech. Szlachta historyczna, która tu decyduje, zapewniła 4 głosy Niemcom czeskim a trzy tylko młodo-czechom. Wybrani posłowie młodo-czescy nie przyjęli mandatu. Dla załagodzenia nieporozumień zjechało do Pragi wielu posłów słowiańskich, w tej liczbie hr. Hohenwarth. Okazało się jednak, że wskrzeszenie pracy jest niemożliwym, natomiast polacy zawarli podobno ścisły sojusz z szlachtą czeską. Dzienniki niemieckie gniewają się na owacyje, wyprawiane gościom słowiańskim w Pradze. Przed paru dniami entuzjastycznie witano 200 rusinów galicyjskich, przed tem serbów, w tych dniach przybywa zbiorowa partya z Krakowa, następnie ze Lwowa i t. d.

Na kolejach francuzkich szerzy się coraz bardziej bezrobocie. Personel pociągowy zaczyna także świętować, istnieje więc obawa przerwy w komunikacjach. Rząd przedsięwziął środki zaradcze i stara się skłonić świętujących do pracy a zarządy kolejowe do pewnych ustępstw, dotąd jednak bezskutecznie.

Na ostatniem posiedzeniu angielskiej izby gmin sekretarz stanu do spraw irlandzkich, Balfour oznajmił, że rząd wkrótce przedstawi parlamentowi projekt reformy administracyjnej w Irlandyi, na wzór angielskiej i szkockiej.

KRONIKA Powszechna.

— **Rozporządzenia rządowe.** „Nowoje wremja” donosi, że komitet ministrów w d. 7-ym lipca postanowił bezzwłocznie przedsięwziąć środki, mające na celu zabezpieczenie przetrwania ludu, ku czemu właściwe instytucyje rządowe mogą wydać istniejący obecnie kapitał żywnościowy. Minister finansów zostaje upoważniony do wydawania, w razie gdyby się tego okazała potrzeba, nadzwyczajnych sum. Ziemstwa i inne instytucyje obowiązane są zająć się natychmiast nabyciem koniecznych zapasów zboża, które ma być rozdzielone pomiędzy potrzebującą ludność, zarówno do obsiewu pól, jak i wyżywienia najbardziej potrzebującej. Zapasy zboża mają być porobione i dla tej części ludności, która będzie mogła wyżywić się zbożem tegorocznego zbioru, ale gdzie po upływie pewnego czasu można przewidywać niedobór. Minister spraw wewnętrznych zostaje, po porozumieniu się z ministrem finansów, upoważniony do przedsięwzięcia odpowiednich zarządzeń przeciwko spekulacyjom handlu zbożowego i ma dopomóc rozmaitym instytucyjom do urządzania taniej sprzedaży zboża. Ministerjum spraw wewnętrznych ustanawia specjalną komisję do opracowania kwestyi utrzymania w ciągłym porządku magazynów ze zbożem zapasowym i wyjaśnienia ilości zboża, jaka się w nich stale znajdować powinna. — Intendentura wojskowa otrzymała, jak donoszą dzienniki ruskie, rozporządzenie, aby niezwłocznie po żniwach postarała się skompletować zapasy zboża, potrzebnego dla wojska. — Polecono, jak donosi „Swiet”, władzom administracyjnym pilnie czuwać nad możliwymi nadużyciami, jakichby się dopuścić mogli spekulanci zbożowi w miejscowościach rolniczych kraju. O wszystkich w tej mierze nadużyciach winny być natychmiast zawiadamiane władze gubernijalne. — „Now. Wr.” donosi, iż ministerjum spraw wewnętrznych postanowiło ostatecznie wydać przepisy, dotyczące się utworzenia stałych gubernijalnych i powiatowych komisji ogniowych, któreby głównie czuwały nad organizacją pomocy ogniowej wosiach i drobnych osadach. Pomiędzy innymi istnieje projekt ustanowienia podatku od karczem, sklepów wiejskich, zajazdów i t. d. na rzecz urzędowania stacyj pożarowych — Ministerjum skarbu powiększa z początkiem roku przyszłego liczbę inspektorów podatkowych, a to w ten sposób, żeby w każdym powiecie był specjalny inspektor, gdy obecnie jeden przypada na dwa powiaty. („Now. Wr.”).

— **Kronika społeczna.** „Petersburskie Wiedomosti” dowiadują się, że zreformowanie szkół początkowych w koloniach niemieckich Rosji południowej jest już rzeczą postanowioną. Reforma zasadzać się będzie przedewszystkiem na wprowadzeniu języka ruskiego, jako wykładowego. — Ministerjum spraw wewnętrznych wnosi do komitetu ministrów nowy projekt do prawa o zarządzie terytorjum miast: Ryga, Mitawa, Banks, Goldynga, Hazenpot i Tukkm w prowincjach nadbałtyckich („Now. Wr.”). — Zamierzonym zostało wydanie zarządzenia, jakiego mocą do służby ruchu na kolejach żelaznych będą przyjmowane tylko takie osoby pochodzenia nie ruskiego, które władają dobrze językiem ruskim. Nadto służba ta nie będzie mogła używać innego je

zyka, prócz ruskiego. („St.-Pet. Wied.“) — „Now. wr.“ donosi, iż w guberniach południowo-zachodnich jest obecnie wiele majątków na sprzedaż. Sprzedający są przeważnie poddani niemieccy. — Jak donosi „Nowoje Wremia“, Rothschild paryżki zamierza kupić w dalszym ciągu 5 1/2 miliona metrów kwadratowych na wschodnim brzegu Jordanu. Sprawami emigracji żydowskiej kierują Rothschild, Hirsch, Bleichröder, oraz pięciu innych bankierów żydowskich. — Według informacji dzienników petersburskich, w roku przyszłym urządzona będzie międzynarodowa wystawa machin i przyrządów do czyszczenia, sortowania, suszenia i ważenia zboża i nasion, tudzież wystawa przyrządów, służących do oceny nasion. — Departament lekarski opracowuje, jak donoszą dzienniki petersburskie, projekt użycia źródeł mineralnych dla niezamożnych chorych.

— **Kronika ekonomiczna.** Według danych urzędowych koleje w państwie przyniosły od d. 13 stycznia do d. 13 maja 1891 r. dochodu brutto 82,372,789 rs., to jest więcej o cztery i górą miliony rubli niż w roku zeszłym. Dochód z wiorsty wzrósł o 2% zarówno na drogach rządowych, jak i prywatnych. — Wywóz zboża za granicę z państwa ruskiego w ciągu ubiegłego półrocza wyniósł około 200 milionów pudów, w roku zaś zeszłym w tymże czasie wywieziono 175 milionów pudów. Wogóle zboże sprzedane zostało znacznie drożej, niż w latach ubiegłych. — Sieć dróg krajowych w Galicji wynosi obecnie 1,233 kilometrów, powiatowych okrągłe 1,900 kilometrów, gminnych 44,000 kilometr., szosowych 2,500 kilometrów. Na subwencje dla dróg gminnych i powiatowych wydano z funduszu krajowego pod koniec roku 1890 sumę 2,138,166 złr. Zupełna rekonstrukcja wszystkich dróg gminnych i powiatowych wymagać będzie jeszcze 18,750,000 złr.

— **Szkoły i oświata.** Egzamina „maturitatis“ (dojrzałości) w r. 1889 odbywały się w 173 zakładach naukowych, a mianowicie: w 162 gimnazyjach rządowych, w 5 szkołach cerkiewnych, pozostających na prawach gimnazyjów i w 6 gimnazyjach prywatnych. Do egzaminu tego przystąpiło 3635 osób, w tej liczbie 346 z domowej edukacji. Największej liczby dostarczył moskiewski okręg naukowy (490 uczniów, 30 prywatnych), najmniejszej zaś liczby okręgi orenburski (85), syberyjski i turkestański. Z ogólnej liczby pracujących podlegać egzaminowi, nie przypuszczono dla rozma-

itych powodów 175 osób, t. j. 4,8% i zdawało tylko 3460 osób, z których odpadło 418 (12%). Według liczby uczniów, którzy otrzymali patenty dojrzałości w gimnazjach rządowych, pierwsze miejsce zajmuje okręg petersburski (97,7%), moskiewski zaś (91,7%) — siódme. Medali przyznało 284 (134 złotych i 150 srebrnych), co stanowi 9,7% ogólnej liczby uczniów, jaka otrzymała patenty dojrzałości; przytem nadmienić wypada, że w gimnazyjach we wschodniej Syberii i Taszkencie ani jeden uczeń nie został nagrodzony medalem. Z ogólnej liczby uczniów, którzy ukończyli gimnazjum, 2785 zapisało się na uniwersytety, 168 do wyższych szkół specjalnych, reszta zaś obrała sobie inny zawód, a mianowicie: 44 wstąpiło do wojska, a 9 do służby cywilnej. („Dziennik Min. Ośw.“) — Od r. 1891—92 bezpośrednio na drugi kurs akademii wojenno-medycznej w Petersburgu przyjmowani będą studenci fakultetu fizyczno-matematycznego, którzy otrzymali dyplom 1-ej klasy. — Dziennik „Grażdanin“ donosi, iż kuratorowie niektórych okręgów naukowych zwrócili uwagę na naukę tańca w szkołach średnich, jako na uzupełnienie ćwiczeń gimnastycznych.

— **Literatura i sztuka.** Na posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu dr. Celichowski odczytał referat o poemacie z końca XVI lub początku XVII w, p. t.: „Stanu wdowiego zabawy i pociechy.“ Referent przypisuje ten poemat, pochodzący z archiwum niewiejskiego, Salomonowi Rysińskiemu. — Dr. A. Skórski ogłosił we Lwowie studjum p. t.: „Jan Śniadecki, w obec współczesnej metafizyki niemieckiej i dzisiejszych dążeń filozoficznych.“ — W N. 29-m „Wszczęświata“ znajdujemy następujące prace: „Muzeum Tatrzzańskie im. d-ra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem,“ — jest to opis dotychczasowych zbiorów tego muzeum, oraz wyjątki z jego statutu; „Światło i życie w głębi wód“ przez Maks. Flauma, „Osobliwy owad“ (Idolum diabolicum, Modliszka szatańska) przez A. S. — W Kijowie wyszła obszerna praca p. K. Arabaźyna o Kazimierzu Brodzińskim. Autor, uczeń prof. W. Antonowicza jeszcze podczas pobytu w uniwersytecie za rozprawę o Brodzińskim otrzymał złoty medal, następnie zaś umyślnie przyjechał na pewien czas do Warszawy dla uzupełnienia studjów. — Krytykę „Bez dogmatu“ zamieszcza pismo miesięczne rosyjskie „Wiestnik Europy.“ Podaje ją p. Karonin, krytyk i powieściopisarz; w „La nouvelle revue“ o „Un roman

de Sienkiewicz“ pisze p. A. Wodziński. — Edmund Goncourt, który dnia 29-go maja r. b. ukończył lat 70, wydał tom I nowego dzieła, obliczonego na 13 tomów, a poświęconego studjom nad sztuką w Japonii.

— **Rozmałości.** Rząd niemiecki ogłosił przed kilku dniami wynik badań, dotyczących się zbiorów tegorocznych w Niemczech. Według tych danych, 50 powiatów może liczyć na żniwo bardzo dobre, 234 na dobre, 193 na dostateczne i średnie, a tylko 7 powiatów na złe. Żyto ozime, według przypuszczalnych obliczeń, wyda 75 1/2%, pszenica ozima 80% zbioru średniego. Ponieważ zaś zbiór średni żyta w Niemczech przynosi około 108 mil. centnarów, pszenicy zaś 27 mil., przeto w roku bieżącym produkcja żyta w Niemczech wyniesie około 82 mil., pszenicy zaś około 22 mil. centn. W obec tego przyznać trzeba, że widoki tegorocznych zbiorów w Niemczech nie są złe. Zbiór żyta będzie nawet o jakie 2,500,000 centn. wyższy niż w roku ubiegłym, co prawda, wyjątkowo niekorzystnym pod względem zbioru tego zboża. Ponieważ w obecnej chwili stare zapasy żyta są już prawie zupełnie wyczerpane, Niemcy w nadchodzącej kampanii będą potrzebowały daleko większego dowozu zagranicznego, niż w całym szeregu lat poprzednich. Ewentualność ta zaznacza się już dzisiaj w stałym podnoszeniu się cen żyta na rynkach miejscowych. — Dowóz owoców z Austrii do Niemiec i Węgier w r. 1889 obliczano na 1,957,000 centnarów; mała zaś Belgja. dzięki świetnej gospodarce owocowej, wywoziła w tym że czasie na sumę 10,737,200 franków! Produkcja owocowa Belgji w ciągu ostatnich lat 18 warosła w czwórnasób. — Stowarzyszenia kobiece w Kopenhadze urządziły w tych dniach wielki wiec niewieści, w którym wzięło udział do 12,000 kobiet. Z muzyką i chorągwiemi zgromadziły się na rynku miasta, kędy wzniesiono ogromną trybunę, z napisem: „Równość praw dla mężczyzn i kobiet!“ Uczestniczki pochodu wypowiedziały kilka mów, które w ogólności stawiały zasadę, iż kobiety powinny prowadzić walkę o wszystkie bez wyjątku prawa społeczne i polityczne. — Według „Reichsanzeigera“ zbiory pszenicy w Niemczech w r. z. wynosiły 2,839,000 tonn, żyta 5,877,000 t., kartofli 23,320,000 tonn. Zbiory przeciętne w ostatnich latach dziesięciu wynosiły: pszenicy 2,479,000 tonn, żyta 5,702,000 tonn, kartofli 23,884,000 tonn.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Dostawca Dworu Cesarsko-Austryjacko-
Węgierskiego.



„EXSICCATOR“

Niszczy grzybek! drzewny i osusza wilgoc
raz na zawsze i t. p.

Broszurkę niezbędną dla każdego budują-
cego wysyłam franco i bezpłatnie.

Wynalazca Inż.-techn. **G. Ritter.**

Królewska 39, w Warszawie.

Wyszły z druku i są do nabycia we
wszystkich księgarniach

KÓŁKA ROLNICZE W GALICJI

przez

Jadwigę z Szczawińskich Dawidową.

(Odbitka z Głosu).

Cena 15 kop.

Wydawnictwa „Głosu“

KWESTYJONARYJUSZ

W sprawie czytelnictwa ludowego

napisali

A. Potocki i Z. Wasilewski

Warszawa 1890 r., str. 24 w 16-ce.

Cena 10 kop.

Wyszła z druku nakładem redakcji „Głosu“ i jest do nabycia
w księgarniach

nowa powieść Edwarda Bellamy'ego

Sposób d-ra Heidenhoffa

Cena kop. 50.

Tegoż autora:

W roku 2000.

Wydanie 4-te z portretem autora.

Cena kop. 60.

Wyszły z druku:

GAWĘDY EKONOMICZNE

Przełożył i uzupełnił

ZYGMUNT HERYNG

str. 118. Cena kop. 30

Jest to popularny wykład całej ekonomii politycznej, dostępny dla
szerokich kół.

Treść rozdziałów: Działalność gospodarcza. — Podział ekonomii politycznej. — Wytwarzanie. — Przyroda. — Praca gospodarcza. — Ilość pracy w społeczeństwie. — Podział pracy i kooperacja. — Inne warunki wytwórczości pracy. — Kapitał, jego wytwarzanie się i zużycie. — Podział kapitału. — Podział dochodu. — Renta. — Zysk. — Płaca zarobna. — Zmiany wielkości renty, zysku i płacy. — Wymiana. — Wartość. — Miara wartości. — Cena. — Pieniądze. — Wartość pieniędzy. — Pieniądze papierowe. — Kredyt. — Banki i stowarzyszenia. — Stowarzyszenia wytwórcze i spożywcze. — Trades-Uniony. — Rycerze pracy. — Stowarzyszenia fabrykantów (kartele i trusty).

Pozostała pewna ilość egzemplarzy

WYDAWNICTWA ZBIOROWEGO

„NA GARNUSZEK“

wydanego pod redakcją „Kolców“

NA KORZYŚĆ NIEMOWLĄT POZBAWIONYCH RODZINY,

jest do nabycia po cenie **zniżonej**

w redakcji „Kolców“ (Niecała Nr. 12 w Warszawie),

oraz we wszystkich księgarniach warszawskich.

Cena za egzemplarz k. 20 z przesyłką pocztową k. 30.